BIBLIOTEKA ... W SOPOCIE
Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka
CIV 9013
SN

Cena zł 20 + 1 na fundusz dzieci „CARITAS"

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 21 marca 1948 r. | Nr 12 (121)

Artur Zatopiński

WSPOMNIENIE O WŁODZIMIERZU PIETRZAKU

Jaki on był? Pytanie to typowe dla czytelników spragnionych konkretnej wiedzy o pisarzu, coraz częściej pada w naszą stronę. Młodzi, których Pietrzak już zaciekawił i zdobył, domagają się jego portretu. Chcą aby ukazał się człowiek.

Nie ma w tym nic dziwnego, że badawcza dociekliwość ludzka, ściga to uosobienie błyskotliwości nawet poza grób. Kto wyrósł w atmosferze lat przedwojennych, wie, że wtedy właśnie ogarnęła ludzi ta biograficzna pasja odzywająca się jeszcze w drugim pokoleniu, uparta chęć skonfrontowania życiorysu twórcy z głoszonym przezeń poglądem na świat, nie opuszcza nas ani na chwilę.

W czasach gdy dzieło oderwane od podłoża kształtującej je osobowości przestaje ludziom wystarczać, sięgnąć musimy do źródeł.

Co to znaczy? Boy Żeleński zdolny uczeń Freuda, wywiódł twórczość z działania popędów witalnych. Pokazał, w jakim stopniu instynkty pomagają rozszyfrować świat. Lecz analiza prywatnych namiętności nie mogła wystarczyć w epoce, dla której uspołecznienie impulsu twórczego stało się celem dążeń — najważniejszym ze wszystkich zadaniem.

Pokolenie nasze, olśnione zostało nieomylną wiarą, że człowiek stwarza sam siebie w działaniu a charakter swój urabia w toku zdobywczego przeistaczania rzeczywistości. Cały sposób życia Pietrzaka bazował na tym przeświadczeniu. Zagadnienie formowania indywidualności w myśl nakazów czasu wyznaczającego jej ponadludzkie niekiedy zadania — ten punkt wyjścia był dla niego niezwykle istotny. Nasze widzenie postaci zmarłego dotyczy właśnie tej epoki, kiedy wzrost i rozwój osobowości na miarę dziejową, zdawał się być warunkiem heroicznego w istocie działania.

Jaki był? Jego technikę pracy nad sobą uformowały dwie dyscypliny na pozór jakże odrębne. Nie bez wpływu pozostał tutaj bichewioryzm ta maska i ambitna pewność, że człowieka bez reszty określa jego zachowanie.

Jestem tym co robię. W czynach zawieram się cały. Moje myśli uczucia, poglądy, wszystko to ma objektywną wartość, jeżeli działa na innych jako piękno utrwalone w sztuce. Sztuka jednak nie wyczerpuje zakresu egzystencji ludzkiej. Musi być poprzedzona przez życie. Pietrzak tak stawiał sprawę.

Chciał się stać kimś w oczach ludzi go otaczających. Kimś kontrolowanym przez czujną społeczną reakcję. Opinia odgrywała dlań rolę zwierciadła. Nigdy jej nie lekceważył. Nawet wówczas gdy posłuszeństwo wobec przeciętności wyzwalało w nim odruch odrazy moralnej, do głębi świadom był potęgi jaką w Polsce jest siła bezwładu.

Twój sposób bycia, pouczał jednego z swych młodych przyjaciół nie może być przypadkowy i zmienny, zależny od takich odruchów, których zawczasu przewidzieć i opanować nie umiesz.

Ta zdolność ukazywania się światu w proporcjach ze wszech miar upragnionych — wola władania sobą, nie łączyła się w jego osobie z wyobrażeniem wymuszonej i oschłej sztuczności. Gdziekolwiek był, tam udzielała się ludziom ta atmosfera pasji kształtującej, — żarliwe męskie skupienie.

Nie zdarzyło nam się spotkać osobowości bardziej zdyscyplinowanej. Długoletni olbrzymi wysiłek urobił tego człowieka, który sztukę bezustannego ujarzmiania siebie doprowadził do granic ascezy. Najmocniej z nas wszystkich zapragnął stać się osobowością świadomie zorganizowaną. Wiedział, że wszelki rozwój polega na umiejętnym przystosowaniu się do warunków, które go wzmagają. Dążył do tego, aby się w całej pełni zobjektywizować i móc spojrzeć na siebie oczami ludzi z zewnątrz.

Cieszył się zawsze najbardziej gdy powtarzaliśmy mu opinie osób niechętnie dlań usposobionych. Ciekaw był zdania swych wrogów albowiem szukał surowej miary. Kształtowała go ludzką bezwzględność.

To jedno nurtowało w nim przez całe życie stać się kimś całkowicie dla siebie sprawdzalnym. Wyrugować wszystko, co przypadkowe rażące i zbędne. Osiągnąć czysty stop. Osobowość zdolną do podjęcia zadań swego czasu.

Powiedział ktoś, że pokolenie nasze cierpiało na przerost woli kosztem intelektu i uczuć zagłuszonych przez pragnienie czynu. Jakież to nietrafne! Pietrzak, ten wirtuoz dialektyki i formy, do końca pozostał woluntarystą, Wolał Augustyna niż św. Tomasza z Akwinu. Wszędzie szukał sił sprawczych, wyznaczających zasadniczy kierunek dążenia. Głód właściwej proporcji — on uczynił go świetnym stylistą — wielbicielem definicji konkretnej i ścisłej.

Pisał aforyzmami, — ten łowca syntetycznych formuł, zmierzający ku maksymalnej zwięzłości wyrazu. Granicą podobnych wysiłków staje się czasem maniera. Pietrzak doskonale orientował się w niebezpieczeństwach tego stylu życia, który uczynił swym własnym. Nie chciał zostać bohaterem pozy całkiem świadomie obranej, ale też on pierwszy w Polsce bronił prawa do ryzykownie pojętej twórczości. W jednym ze swych esejów napisał: „Rysem charakterystycznym dla pozy jest wysiłek dorównania jakiejś postawie, którą się uważa za doskonalszą, cenniejszą, niekoniecznie wygodniejszą. Osoba pozująca różni się od otoczenia przynajmniej tym, że stara się odsunąć od przeciętności i odznaczyć pewnymi cechami. Otoczenie broni przeciętności, walczy ze wzgardą dla przeciętności. Przeciętność jest łatwie[illegible] nie domaga się żadnego wysiłku".

Prawda. Ważne jest to, co człowiek ze swego surowca wytwarza, nie to, że jego „naturalność" ujawnia się w postaci nieskoordynowanych odruchów nerwowych. Pokolenie nasze ma wstręt do postaci bezkształtnych. Nie cierpi ono spontaniczności właściwej dla ryb w galarecie. Zarazem jednak śmieje się z patosu sztuczności i bufonady. Doskonale odróżnia sztywność od swobody, wywodzącej się z niewidzialnych rygorów.

Jaką gębę pokażę dziś światu? Ten groteskowy problem Gombrowicza, z którym Pietrzak krytycznie się zmagał, nie był bynajmniej czymś błahym w dobie, gdy wszelkie konwencje obyczajowe traciły powagę i moc.

Przekonanie, że dynamiczna struktura osobowości, ujawnia się w bezpośrednim działaniu, zaważyło na wielu decyzjach podejmowanych z myślą o konieczności sprawdzenia samego siebie w sytuacji zagrażającej istnieniu.

Żyć niebezpiecznie—to było ważne. W czasach poprzedzających wybuch drugiej wojny, towarzyszyło nam: Przeczucie próby ognia.

Jakże często mówiliśmy wtedy: wiara staje się zasaźliwa, gdy człowiek potrafi uczynić ją w pełni widzialną.

Pietrzak przez całe życie szukał tego punktu zaczepienia, dzięki któremu nasze życie wewnętrzne staje się przyczyną sprawczą prowokującą przemiany fizycznego świata.

Tego ucznia poetyki awangardowej, znamionował prawdziwie męski wstyd uczuć, niechęć do egzaltacji i ekshibicjonizmu sprawiała, że często lekceważył nie przemyślane odruchy szczerości, wszelką wylewność potępiał. W cytowanym tu już artykule oświadczył: „Zwykle przeciwstawia się pozie naturalność. Wreszcie trzeba by powiedzieć, że naturalność także jest pozą tylko banalniejszą i nudniejszą. Przez naturalność rozumiemy szczerość i spontaniczność odruchu. Wbrew pozorom człowiek naturalny mówi o sobie bardzo niewiele. Widać w nim wszystko jak w przezroczystym stawie, to prawda, ale jego gesty i słowa są trochę z przypadku, znajdujemy to na co natrafiamy. Nie ma w nich wagi nadrzędnej, nie odnoszą się do niczego w głębi. Po prostu: były na powierzchni, pod którą nie było już dna. Dały się wyczerpać, nic po nich nie zostaje. Szczerość, jako zasadnicza postawa, nic nie mówi o człowieku a tylko zdradza go na każdym kroku. Człowiek jest sobą najmniej, gdy mówi o sobie wszystko, miesza wtedy sprawy istotne z drugorzędnymi, nie rozróżnia w nich tego, co jest dlań najbardziej istotne — najbardziej własne i o czym właśnie powinien był milczeć". W tym miejscu autor cytuje Irzykowskiego: „Szczerość także używa maski, oddając wszystko zaciera kanty tego, co najistotniejsze, ukrywa i rozmieszcza sprawy zasadnicze między drugorzędnymi, daje inwentarz przeżycia.

Po co należy być szczerym—nad tym kłopotliwym pytaniem mało osób się zastanawia. Szczerość nie powinna być tak sobie na darmo, zupełnie z taką samą łatwością z jaką jesienny wiatr zrzuca liście z drzew. Szczerość powinna być przeznaczona".

Już wtedy podejrzewaliśmy, że człowiek sam siebie nie zna. Jego wnętrze ukazuje się dopiero w toku dramatycznej konfrontacji z losem. Wszystko, co dzieje się przed tym, oznacza jedynie ferment możliwości często sprzecznych i wielokierunkowych.

Pietrzak zwykł był mawiać: Nie to jest ważne kim jestem. Chcę wiedzieć kim mogę się stać!

Do czego zdolny jest człowiek? W pytaniu tym zawiera się niewyczerpana energia woli, świadomie kształtującej byt i osobowość. Ten, kto je stawia — styka się z nieskończonością utajoną w swym własnym istnieniu.

Pietrzak wiedział, że praca nad sobą możliwa jest tylko w oparciu o wyraźną hierarchię wartości. Pi-

Wytyczne

* * *

Pozorne i łatwe szczęście, które leży blisko nas i którego dosięga się bez trudu nie posiada wartości. Do harmonii ostatecznej, do szczęścia w wysokiej i prawdziwej skali dochodzi się przez twórczość tzn. przez wysiłek powołania do bytu form, które jeszcze nie istnieją przez wysiłek przemiany zastanego świata — i siebie. Harmonii wewnętrznej nigdy nie osiąga się przez brak przymusu bez przyjętej hierarchii wartości. Należy przyjąć ryzyko, należy rzucić się w burzę życia, stamtąd dopiero dochodzi się do lądu zdobytego i uspokojonego przez naszą władzę. Uczucie szczęścia towarzyszy realizacji dążenia. Prawdziwe szczęście bierze się nie z zastoju lecz z heroizmu, z wyzwania rzuconego losom.

z pism Włodzimierza Pietrzaka.

DMT9|05

Powrót żołnierza

Wracał żołnierz, wracał wczesną wiosną
— Teraz nad nim obce wierzby rosną.
Wracał żołnierz latem, w słońce, w upał
— Drzazga stali: — potknął się i — upadł...
Wracał żołnierz zimą, z wiatrem, śniegiem,
— Zamarzł krzyżem za czerwonym ściegiem...
Wracał żołnierz po wojnie do kraju
— i nie doszedł — stoi na rozstaju...
Żołnierzyku — oddaj bagnet srebrny —
Nie ma wojny — jesteś niepotrzebny.
Żołnierzyku — oddaj-no karabin —
Taki ciężki — a tyś ranny, słaby.
Żołnierzyku — oddaj pas swój lśniący —
Bo byś mógł się obwiesić... niechcący.
Żołnierzyku — nie płacz się pod nogą —
Wynaleźli bombę atomową!
Zejdź nam z oczu — takiś oberwany —
Śmierdzą łachy i cuchnie ci z rany...
Wyją wiatry — idzie jesień szósta
Oczy gwiazdom — a dziewczynie usta
A matuli, matuli, co czeka —
Łzę ostatnią chowasz pod powieką —
A ojczyźnie — cóż tam pod łachmanem?
— Serce wierne, serce niezłamane —
A dla ciebie — cóż z świata uniosłeś?
— Krwi kropelkę, by ją... oddać Polsce.

Maciej J. Kononowicz.

sał, że „do szczęścia w wysokiej prawdziwej skali dochodzi się przez twórczość, to znaczy przez wysiłek powołania do życia form które jszcze nie istniały — przez wysiłek przemiany zastanego świata i siebie.

Należy przyjąć ryzyko, należy rzucić się w burzę życia, stamtąd dopiero dochodzi się do lądu zdobytego, uspokojonego przez naszą władzę podboju.

Uczucie szczęścia towarzyszy realizacji dążenia, lecz nie to uczucie jest celem ludzkiego działania. Prawdziwe szczęście bierze się nie z zastoju lecz z heroizmu, z wyzwania rzuconego losom. Usprawiedliwieniem moralnym istnienia jest twórczość". Wtedy mówiliśmy nieraz: Nie skończyło się dzieło stworzenia. Bóg dalej kształtuje świat naszymi rękami, możemy każdej chwili przywołać Go na pomoc poprzez sakramenty. Świętość jest najważniejszym zadaniem. Potrzeba miary nadludzkiej. Świata nie zbawią politycy. Wszelka chytrość okazuje się w tych wymiarach bezsilna. Pokolenie nasze musi uczynić miłość narzędziem sprawiedliwości społecznej. Myśląc socjologicznie znaczy to wzmagać życie, potęgować je i umacniać przez co? Przez dopuszczenie robotników do bezpośredniego uczestniczenia w dochodach fabryk kopalń i hut, przez katolicki akcjonariat pracy, zmierzający w kierunku rzeczywistego upowszechnienia własności dającej zyski wszystkim zatrudnionym. Pietrzak wierzył, że treścią naszego życia będzie realizacja wizji ustrojowej zawartej w encyklikach papieskich. Idąc po tej linii, odrzuciliśmy zarówno kapitalizm prywatny jak kapitalizm państwowy.

Lecz o co właściwie chodzi? Dotychczas nie wypełniliśmy jeszcze obietnicy danej na samym początku. Pytanie „jaki był, pozostało nierozstrzygnięte, piszący złą obrał metodę. Człowiek składa się z myśli i wierzeń. Zewnętrzny wygląd pisarza na równi z jego dziełami absorbuje wyobraźnię ludzką.

Jego sposób bycia zachował się w naszej pamięci. Drobnomieszczanin o manierach lorda—powiedział o nim ktoś złośliwy i bardzo zazdrosny.

Ale ten wykwint Pietrzaka, owa dystynkcja widoczna w całym zachowaniu, nie była rezultatem snobizmu, wynikała z delikatności niezmiernej, przebijającej we wszystkim co czynił.

Arystokracja wniosła w nasze życie pewien rodzaj tresury towarzyskiej, która okazała się czymś łatwo przyswajalnym dla ludzi stojących poza nią. Te formy jakie Pietrzak uczynił własnymi, stały się jego naturą. Prawda. Człowiek obdarzony taką wrażliwością nie mógł być kimś gruboskórnym. Zręcznie traktował ludzi, z pasją się w nich [illegible]czuwał, z ich odrębności tworzył zagadnienia. Nade wszystko obchodziła go sztuka współżycia z innymi. Psychologia zespołowa.

Teraz rozumiemy dlaczego każda nowa sytuacja była dlań ważnym zadaniem i okazją do pogrążenia się w niepoznawalnym.

Przypomnijmy sobie ówczesne sugestie literackie: zasadę wstydu uczuć i ascetyczną powściągliwość wyrazu. Była już mowa o tym, że Pietrzak blizko otarł się o awangardę poetycką. Cenił styl lakoniczny i zwięzły, naładowany ujarzmioną gwałtowną ekspresją. On świadomie kształtował swe pasje potężniejące dzięki surowej dyscyplinie intelektualnej. Dla takich nawet namiętności była materiałem. Istniała jako zagadnienie większości wewnętrznej, jako tajemnica ożywiająca całą osobowość.

Pamiętamy te ruchy retora, — szybkość utajoną i narastającą w nim. Mówił najlepiej z nas wszystkich, wyraziście i precyzyjnie. Od razu chwytał sprawę u korzenia. Rozmawiając z nim, ostro widziało się problem, — jego dramatyczne alternatywy, — własne i cudze partactwo.

Pisał błyskawicznie, mocno, od razu bez błędów, prawie nic nie skreślał. Robota paliła mu się w rękach? Nie, wolelibyśmy rzec iż wykonywał ją w chłodnym skupieniu, ale i ten zwrot zawiera w sobie zaledwie część prawdy.

Żarliwość koncentracji wewnętrznej,tym zdaniem trafiamy w sedno.

Jakże świetnie miał czas podzielony, ile spraw różnych łączył w jednym dniu! Polot! Tego mu nigdy nie brakło. Pracował z gwałtownością wielką, szybko, radośnie. Ktoś przychodzący z zewnątrz, tego nie dostrzegał Zgoła inne odnosił wrażenie. Obcych zastanawiał w nim majestatyczny spokój, ta pewna hieratyczność gestu. Dostojeństwo młodości, wyprzedzającej swą własną epokę.

A przecież... Od wczesnych lat zżerał go pośpiech niewidoczny prawie. Jakaś spazmatycznie tłumiona zachłanność.

Poznać! Wyobraźnia jego wyzwalała się w zetknięciu z ludźmi. Towarzystwo było areną dyskusji, dialektycznym ćwiczeniem lekkim i żartobliwym. Bywał wiele. Codziennie na innym terenie. Ustawicznie przekraczał granice ekskluzywnych zamkniętych środowisk. Jego perfekcja retoryczna doszła nareszcie do tego, że nawet rozmawiając przygodnie, bawił się aforyzmami. Ten ciągły popis błyskotliwości nie wynikał z świadomych zamierzeń. Dialogi przezeń pisane iskrzą się od definicji. Jest w nich świetność wywodząca się z poczucia pełni, z gorączkowego nadmiaru myśli i spostrzeżeń. Dowcip tego człowieka wielekroć bywał groźniejszy od pedantycznych oskarżeń. Zawiści Pietrzak nie znał. Nie mógł jej znać, ponieważ należał do ludzi obdarzonych poczuciem swej rzeczywistej wartości. Takich nikt nie gasi, nikt im nie przeszkadza. Oni potrzebują wielkiego układu odniesienia, aby się mogli rozwijać. Stąd zachwyt dla dzieł doskonałych, uwielbienie żywione w stosunku do Nałkowskiej, Irzykowskiego i Iwaszkiewicza. Irzykowski zlekceważony przez ówczesną giełdę literacką był naszym mistrzem i nauczycielem. To on urobił najlepsze umysły tego pokolenia!

Czym je przepoił, spytacie? Na to świetnie odpowiedział St. Kisielewski w artykule o klerku heroicznym (Tyg. Powszechny 29.2. 48).

„Ideą przewodnią jego życia było przezwyciężenie terroru determinizmów, jakiejkolwiek były one natury: determinizm społeczny, materialny, klasowy, narodowy, rasowy, determinizm snobizmu, pojęć łatwych, etykietek, opinii ustalonych, nawet determinizm talentu i dyspozycji wrodzonych, — wszystko to był dla Irzykowskiego jeden i ten sam wróg z którym należało się zmierzyć którego należało pokonać, ponieważ stoi on na drodze wolności myśli czystej, myśli heroicznej poszukującej obiektywnej prawdy o świecie, człowieku, twórczości. Echo tej właśnie ambitnej postawy, znajdujemy w niezwykle cennym wyznaniu Pietrzaka, który w esseju o literaturze chłopskiej oświadczył: „Nasza epoka jest okresem generalnej rewizji pojęć. Dopiero wtedy będzie można zacząć nowe życie, gdy całą przeszłość zdołamy na nowo przemyśleć. Z reguł tej klasyfikacji wyrośnie nurt nowego życia".

Tak. Ten pisarz zdawał sobie sprawę z naporu skostnień myślowych zamykających nam pole widzenia. Nie bez kozery powoływał się często na Bendę.

Chętnie przypominał: „Świat cierpi z braku wiary w ideał transcedentny. Intelektualiści zrezygnowali z władzy jaką im ofiarowano. Zdradzili, to znaczy oddali swą myśl w służbę namiętnościom politycznym i społecznym. Poszli na służbę ideologiom".

Kto to pisał? Ten znawca śmiercionośnych mitów, uczeń czarnoksięski przeszkolony w szeregach marksizmu, późniejszy sztabowiec Falangi, członek Konfederacji Narodu!

Młodość — mawiał wtedy—cóż? Młodość to jądro ciemności. Z doktryn się wyrasta. Jesteśmy przejściowym pokoleniem. Być może los wdepcze nas w ziemię. Choć mało jest szans ocalenia, musimy zachować się tak, jak gdyby dzięki nam cywilizacja mogła być uratowana.

Przypomnieć tutaj wypada wniosek pewien, wysnuty z wielogodzinnej rozmowy. O świcie padły te słowa: „Wiedzcie o tym! Nas ukształtował czas niedokonany. Żyjemy pomiędzy i wśród, jakby na pograniczu. Stąd nasze wewnętrzne rozdarcie".

Jednego chciał! Zdążyć i wypowiedzieć ów dramat. Przyswoić sobie obiektywne racje rozproszone w skłóconych doktrynach. Poznać ich rację bytu. To dzięki czemu działają.

Balk był pluralistą. Patrzał na rzeczywistość z wielu punktów widzenia. Jak ognia lękał się ciasnoty i jednostronności. Nie lekceważył żadnego poglądu na świat, żadnemu też nie ulegał w sposób bezkrytyczny i emocjonalny. Umiał porównywać. W rozmowach z Irzykowskim często padało twierdzenie, że prawda jest kulą. Posiada wiele aspektów i bezustannie musi być sprawdzana, doświadczalnie sprawdzana. Nikt tak jak on nie umiał wczuć się w stanowisko przeciwne sobie w zasadach. Człowiek inaczej myślący, nie był dla niego wrogiem. Stanowił obiekt badania. Dlaczego on musi tak wierzyć? Przez jakie konieczności został uwarunkowany...

Była w nim wielka uczciwość intelektualna. Uważajmy jednak. Portret ten jest tak dalece pozbawiony sprzeczności zewnętrznych, że w oczach naszych chwilami przestaje być naturalny. Należy odważnie obnażyć w nim niekonsekwencje, nie wykańczać go piórkiem pod światło.

Mówiąc otwarcie: dwie skłonności zmagały się w Balku: wstręt do gwałtu i umiłowanie czynu, który wyzwala i sprawdza. Cóż z tego, że nie brał w tych akcjach udziału. Rozgrywały się w nim mimo wszystko. Awantura była problemem moralnym. Znienawidził antysemityzm, ukazujący mu naszą bezsilność. Najwcześniej dostrzegł w nim objaw polskiego kompleksu niższości. Furię wzbudza w nas zawsze to, czemu nie jesteśmy w stanie sprostać w drodze szlachetnej rywalizacji i współzawodnictwa. O tym był przekonany. Wiedział, że cywilizację ocenia się zawsze w skali porównawczej. Nie wolno niszczyć sprawności, która nas przerasta. Można ją tylko prześcignąć.

Uczył, że barbarzyństwo jest degradacją moralną. Tego nie chciał dla nas. Opanował swą wolę działania tak długo, dopóki konspiracja nie dała mu upragnionej okazji. W niemieckim obłędzie rasowym, na wiele lat przed wojną, upatrywał zapowiedź upadku.

Wyznać to trzeba dziś właśnie, iż w dobie koniunkturalnego zamroczenia umysłów i pojęć, literatura była dziedziną, w której piękno przywracało nam utraconą przytomność umysłu. Pietrzak z najwyższym podziwem odnosił się do twórczości Juliana Tuwima a książki Schulza uważał za wydarzenie zdolne zdystansować Kaffkę na rynku światowym.

Dzięki swojej postawie badacza i naukowca, Balk miał przyjaciół we wszystkich obozach. Nie było dla niego w Polsce drzwi zamkniętych. Sztukę współżycia z ludźmi posiadł w stopniu dla wielu z nas nieosiągalnym, lecz tylko złośliwi twierdzili, że dzięki właściwościom swego usposobienia, jak nikt inny nadaje się do... dyplomacji.

Imponująca była rozległość jego zainteresowań. Nieraz mówiliśmy o tym dlaczego czyn w naszej epoce z reguły zwraca się przeciwko życiu, zamiast je potęgować i wzmagać.

Istotnie. Nasi straszni ojcowie wyzwolili w nas jakąś niszczącą i samobójczą aktywność. Następstwem jej nie mogło być nic innego jak tylko wojna i filozofia ciążenia ku śmierci. Nihilistyczny charakter tych czasów, stanowił punkt wyjścia dla naszych ówczesnych rozważań. Wiadomo było, że przeżywają się nacjonalizmy. Hitleryzm stał się spazmem przedśmiertnym tej najokrutniejszej fazy ludzkiego istnienia. Jeżeli mimo to, sprzyjaliśmy wówczas wszystkiemu co podniecało pychę narodową, działanie takie oparte było na przekonaniu, że tylko dumny fanatyzm zrobi z nas dobrych żołnierzy. Wydawało się, że faszystowskiej psychozie, skutecznie przeciwstawić można jedynie postawę wyrażającą to samo natężenie buty i zacietrzewienia. Ludzie przybywający z Francji, mówili, że Francja nie będzie się bić. Ta demokracja była w oczach naszych synonimem słabości i sceptycyzmu. Historia przyznała rację niewierzącym w jej zdolność oporu, lecz przecenianie momentów psychologicznych u nas właśnie zaważyło na klęsce wrześniowej.

Pietrzak przez całe życie zmagał się z tajemnicą misji dziejowej narodu. Nieprzerwanie i uparcie pytał: co przeciwstawimy mitom pragnącym opanować świat? Jaką hierachię wartości?

Ten pisarz wrażliwy na wszystko co było w Polsce tragiczne, wiedział, że kraj niezdolny mierzyć się z innymi pod względem ilości produkcji duchowej i materialnej, musi stawiać na jakość, na atrakcyjność w dziedzinie konkretnych osiągnięć. Własny wysiłek mierzy się w porównaniu z innymi. Sprawdzać go trzeba na wielkiej skali globowej. Polska będzie znaczyła tyle, ile nagród Nobla zdobędą jej wielcy uczeni, literaci, technicy, inżynierowie. Tylko to jest ważne i tylko to się liczy: mistrzostwo w pracy zawodowej, rywalizacja w dziedzinie wytwarzania duchowych i materialnych wartości, posiadających walor powszechny i ogólno ludzki.

Katolicyzm — tak, ale co właściwie zrobiliśmy z katolicyzmu. Jaki styl życia wynikł z naszej wiary. Aby tu w żarliwości przodować, trzeba wydać największą ilość świętych, stworzyć nową Summę teologiczną, wcielić w życie zasady katolickiej koncepcji społeczno gospodarczej, odrodzić sztukę kościelną, sprawić, by rozwój malarstwa religijnego, żywszy był w Polsce niż na zachodzie Europy a nade wszystko tak skutecznie pracować nad ludźmi, by statystyka odtwarzająca wzrost przestępczości alkoholizmu i chorób wenerycznych, przestała być świadectwem przerażającym dla świata.

Na marginesie studiowanej przez siebie historii Włodzimierz Pietrzak tuż przed wojną takie umieścił pytanie:

„Co zrobić z Polakami? Ten naród ciągle grawituje między skłonnością do wolnościowej anarchii a despotyzmem jaki sam wywołał".

Na szczęście ten kłopot przestał być wyłącznie naszym. Od tej antynomii zatrząsł się dziś cały glob.

Wolność — dobrze, ale dlaczego i po co. Wolność ma sens tylko wtedy, gdy stwarza najlepsze warunki dla wytężonej i różnorodnej twórczości. Wszystko co twórczość pobudza i wzmaga, jest synonimem swobody. Wszystko co ją ogranicza i niszczy, oznacza dotkliwą niewolę.

Cenne w Pietrzaku jest to, że jego działalność przeciwstawiała się kategorycznie temu, co bezpośrednio łączyło się u nas z supremacją gestu pozbawionego następstw i konsekwencji praktycznych. Mówiąc o pewnej akcji opozycyjnej, którą sanacja zdławiła, taką gdzieś rzucił uwagę: „Bunt potrzebny jest wtedy, kiedy ma szanse, gdy może się udać. Bunt dla buntu to zabawa dla zbrodniczych półinteligentów. Nam chodzi o kalkulację. Rewolucje wewnętrzne są dziś niemożliwe. Faszyzm dowiódł, że opozycja jest wobec państwa policyjnego bezsilna.

W owym czasie, gdy zagadnienie techniki rządzenia absorbowało nas w sposób szczególnie istotny, akcentowaliśmy mocno konieczność przekształcenia demokracji politycznej na demokrację gospodarczą, składającą się nie z doktrynerów dyletantów i demagogów, lecz z biegłych ekspertów i rzeczoznawców konkretnych zagadnień życia publicznego.

DOK. W NASTĘPNYM NR.

TYDZIEŃ KULTURALNY

80-LECIE JÖRGENSENA.

OSTATNIEJ jesieni dyskretnie w gronie najbliższych przyjaciół, obchodził osiemdziesiątą rocznicę swych urodzin Jan Jörgensen. Uroczystość miała miejsce w Assyżu, w obliczu równiny umbryjskiej, tak jak przystało autorowi przecudnych „Pielgrzymek franciszkańskich", „Świętego Franciszka" i „Świętej Katarzyny".

Jaka szkoda, że żadnej książki wielkiego, duńskiego konwertyty, przyjaciela Bloy, nie ma na rynku księgarskim w Polsce. „Pielgrzymki" — wydane w latach dwudziestych w ładnym przekładzie (czy nie Staffa?), są od dawna wyczerpane. „Św. Franciszek" wydany był po polsku jeszcze przed tamtą wojną. „Św. Katarzynę" nie tłumaczono na polski nigdy. Największe arcydzieła literatury katolickiej z przełomu 19 i 20 wieku są czytelnikowi polskiemu nieznane.

REFORMA KALENDARZA

MIĘDZYNARODOWE Towarzystwo Reformy Kalendarza, mające swą siedzibę w USA, proponuje nast. reformę: Rok dzieliłby się na 12 miesięcy. Każdy kwartał miałby 91 dni. Pierwszy miesiąc kwartału miałby 31 dni, oba następne po 30; 31 grudnia byłby dniem nadzwyczajnym, podobnie jak 31 czerwca w latach przestępnych. 1 stycznia, 1 kwietnia, 1 lipca i 1 października byłyby zawsze niedzielą, 1 lutego, 1 maja, 1 sierpnia i 1 listopada zawsze środą, 1 marca, 1 czerwca, 1 września i 1 grudnia zawsze piątkiem. Ponieważ najbliższy Nowy Rok przypada na niedzielę w r 1950, projekt żąda, by wówczas przeprowadzić reformę. Sprawa znajduje się w ONZ i znalazła już zgodę wielu państw m. in. Stanów Zjednoczonych. Pozytywne stanowisko miał również zająć Watykan, godząc się nawet na ustalenie Wielkanocy na dzień 8 kwietnia i Świąt Zielonych na dzień o 6 tygodni późniejszy. Nowy kalendarz, zdaniem projektodawców, byłby bardzo wygodny.

ANKIETA GALLUPA.

INSTYTUT Badania Opinii Publicznej przeprowadził w 9 krajach ankietę, stawiając następujące pytania:

„Czy Pan(i) wierzy w Boga?"

Francja	66%	20%	14%
Norwegia	84 „	7 „	9 „
Szwecja	80 „	8 „	12 „
Dania	80 „	9 „	11 „
Finlandia	83 „	5 „	12 „
Holandia	80 „	14 „	6 „
Kanada	95 „	2 „	3 „
U. S. A.	94 „	3 „	3 „
Czechosłowacja	77 „	15 „	8 „

„Czy Pan(i) wierzy w życie pozagrobowe?"

Francja	58%	22%	20%
Norwegia	72 „	15 „	14 „
Szwecja	49 „	17 „	34 „
Dania	55 „	27 „	18 „
Finlandia	69 „	11 „	20 „
Holandia	68 „	26 „	6 „
Kanada	78 „	9 „	13 „
U. S. A.	62 „	13 „	25 „
Czechosłowacja	52 „	27 „	21 „

Podobną ankietę przeprowadził również Gallup w W. Brytanii, 45% zapytanych odpowiedziało, że wierzy w Boga osobowego, 39% przyznało, że istnieje jakaś siła nadrzędna kontrolująca życie, a 16% nie jest pewne ani jednego, ani drugiego. Na pytanie o życie pozagrobowe 49% odpowiedziało tak, 27% nie, a 24% nie wiem.

NARODOWE PARTIE KATOLICKIE W HOLANDII.

PO UWOLNIENIU Holandii od okupacji niemieckiej wskrzeszono partię katolicką pod nazwą Katholike Volkspartij i obdarzono nowym, „postępowym" programem. W tym sensie ma ona pewne **podobieństwa z MRP jako partia postępowa,** rozszerzona na nauce i ideologii chrześcijańskiej. Główne punkty programu K. V. stanowią: opieka nad rodziną, wolność wychowania i nauczania, a na polu społecznym zdrowa polityka, natchniona encyklikami papieskimi.

Jako największa partia tego kraju, ruch narodowo-katolicki posiada 32% miejsc w Parlamencie. Za nim kroczy z 29% miejsc Partia Pracy (Socjaliści umiarkowani), którzy łącznie z Kath. Volkspartij, tworzą obecny rząd, na czele którego stoi katolik Dr. L. Beel.

Współpraca katolików i socjalistów oparta jest na obopólnej woli prowadzenia polityki, ogólnie cieszącej się wzięciem i społecznie postępowej.

JUBILEUSZ STAFFA.

ZARZĄD Główny Związku Zawodowego Literatów Polskich oraz Zarząd Oddziału Warszawskiego utworzyły Komitet Jubileuszowy uczczenia Leopolda Staffa. W skład Komitetu weszli Julian Tuwim — jako przewodniczący Komitetu, oraz: prezes Zarządu Głównego ZZLP Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Borowski, Leopold Lewin, Aleksander Wat, Stanisław Ziembicki, Ewa Szelburg-Zarembina.

Uwaga!—B. Wychowankowie K U.L.!

W miesiącu październiku 1948 r. w związku z trzydziestoleciem uczelni odbędzie się w murach Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego zjazd b. wychowanków.

O nadsyłanie adresów własnych, oraz koleżanek i kolegów gorąco prosi

Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.
Lublin, Aleje Racławickie 14,
tel. 23-94, konto P.K.O. II-153.
Lublin.

Zygmunt Lichniak

TOM POEZJI JANA B. OŻOGA

Autentyzm nie miał — i nie ma — w Polsce szczęścia. We Francji stał się jednym z najważniejszych nurtów życia literackiego. U nas płynął — i płynie — wąskim, bełkotliwym strumykiem. Nad marginesowością jego egzystencji zaciążył niewątpliwie t. zw. przykry zbieg okoliczności. Wybrał się polski autentyzm na świat w okresie nieszczęśliwej dla siebie koniunktury poetyckiej, kiedy to poezja międzywojenna zalana była dorzeczem „Skamandra", a później awangardy. To okupowanie terenu przez dwa naczelne kierunki nie pozwoliło na pełny rozwój innych dążeń, po prostu zabrakło dla nich miejsca, nie dostały przydziału mieszkaniowego, bo sąsiedzi wcześniej postarali się o nakaz w urzędzie kwaterunkowym. Ale nie w tym spóźnieniu leży główna przyczyna autentyzmu „zbiegu okoliczności". I nie tylko chronologią tłumaczy się jego bezdomność, jego marginesowa egzystencja.

Istnieje powód znacznie poważniejszy: **brak autentystów.** Nie tych z proklamacyj ideowych. Było ich za wielu. Ale tych z prawdziwego zdarzenia poetyckiego. Było ich za mało. Podanie o nakaz mieszkaniowy mogło być podpisane jednym zaledwie nazwiskiem, jeden zaledwie autentysta mógł przesłać w załącznikach — sfałszowane zresztą częściowo — świadectwo dojrzałości, tomik „O polskim płocie" i następne. Inni nawet takich świadectw, ba, nawet wyraźnych metryk nie mieli. Niepotrzebne im było mieszkanie, bo się jeszcze nie urodzili.

Postawmy jasno sprawę. Radę Irzykowskiego: „ostrożnie z autentyzmem" należy czytać: „ostrożnie z dzieckiem, które ma wkrótce przyjść na świat". Dlaczego? Czy to ironia? Nie. Dotychczasowe próby autentyzmu polskiego nie wyszły poza przywoływanie bociana na rodzinną strzechę, nie dały osiągnięć poetyckich na miarę formułowanych patetycznie kanonów, ugrzęzły w rozwadnianiu motywów ludowych, nie wyzwoliły się nawet z oscylacji między kiepsko retuszowaną swojskością a źle maskowanym i tanim nowatorstwem. To co miało być autentyzmem nie wyzwoliło się jeszcze z maniery zmodernizowanych śpiewaków Justyny a już popada w egocentryzm i ząbkujące z dwudziestokilkoletnim opóźnieniem nowatorstwa „urodzonych w źdźble". Mdła „wsiowość", jedyny swój wykładnik znajdująca w traktowanych rekwizytowo przepiórkach, śnieguliczkach, radłach i kalinach, źle inscenizowane przykładanie ucha do ziemi, „aby usłyszeć matczyny głos", zupełnie już na sztampę zbanalizowana rola marnotrawnych synów, wracających na ojczystej ziemi łono — **to nie autentyzm.** Często zgrabne, ale tylko imitatorskie dostrajanie się do melodyki pieśni ludowej, t. zw. świadome zwężanie świata poetyckiego w ramy wierzbowo-zagajnikowego „landszaftu" i dreptanie w kieraciku motywów stodolno - gumiennych — to **nie autentyzm.** Konspirowanie rzekomo świadomym prymitywizowaniem prawdziwego prymitywu, usprawiedliwianie autentycznego niechlujstwa językowo — wersyfikacyjnego i autentycznej nieumiejętności pokonania rygorów poetyckich, nonszalancją, rozwidnieniem i bylejakością stylu — **to nie autentyzm.** A poeci, którzy **taki** autentyzm tworzyć pragnęli — to nie autentyści. Ba, więcej: to nie poeci.

Te smętne uwagi zrodziła lektura ostatniego tomu wierszy Jana Bolesława Ożoga.*)

Tom ten będąc zsumowaniem przeszło dziesięcioletniej twórczości poetyckiej, prowokuje do rozważań nad „pełnią ożogowską", zachęca swym przekrojowym układem do formułowania sądów, obejmujących całokształt dotychczasowego dorobku, skłania ku rozważaniu jego pozycyj jako pewnego zamkniętego kręgu przemian poetyckich.

Niech i tak będzie. Zacznijmy od tych przemian. Od jakich przemian? Od tych, których nie było?

Naczelną cechą charakterystyczną organizacji poetyckiej Ożoga jest jej niezmienność. Od pierwszych wierszy z „Wyjazdu wnuka" do ostatnich grotesek „Na odpust Anielskiej" panują w niej te same rygory, ta sama technika percypowania zjawisk, ta sama metoda w preparowaniu z nich tworzywa poetyckiego, te same zalety, te same wady. Nie zachwiała tą niezmiennością nawet wojna. Przeszła obok Ożoga. Strząsnęła mu tylko na papier kilka nowych tytułów dla starych wierszy, kilka motywów do starych melodyj i przeszła. Świat poetycki Ożoga zorganizowany na zasadzie ożogo — centryzmu pozostał niewzruszony.

Ktoś może nazwać to siłą trwania, a ktoś powie krótko: **zastój.** Ten drugi ktoś będzie miał rację. Pierwszy ktoś może bronić swojej tezy, wołając, że właśnie w tej „niepożytej mocy" kryje się jeden z walorów największych, a drugi ktoś powie, że zatrzymanie się na drodze rozwoju poetyckiego, ustalenie jednego schematu percepcji, jednej metody transponowania doznań na język poetycki jest śmiercią dla poety. Ten drugi ktoś będzie miał rację. Pierwszy ktoś oburzy się i zaprotestuje, powie, że z sumy owych constansów poetyckich wynika większa możliwość kontaktu z czytelnikiem, wzrastają komunikatywne walory poezji, realizują się pełniej jej funkcje społeczne. A drugi ktoś — zdenerwowany uporem pierwszego — odpowie, że indebilizm poetycki, znajdujący swój wyraz w nierozrastaniu się świadomości twórczej psu na budę się przyda. **Tym razem ten drugi** ktoś też nie będzie miał racji.

Przyda się. **Przyda się krytykowi,** ułatwi mu wskazanie dalszych **cech** charakterystycznych **twórcy „Jej wielkiego wozu", bo uwyraźniły się** one właśnie **dzięki swojej niezmienności. Łatwiej** określić **kolor wody** w stawie, **niż tęczę barw w rwącej** naprzód rzece. **Łatwiej określić zasady organizacji poetyckiej u Ożoga,** który stoi w miejscu, **niż u innych** poetów, **poddanych prawom** ewolucji i rozwoju.

Ożóg z ostatnich cyklów **mieści się** całkowicie w nakreślonych **przez** pierwszy tomik **swoich wierszy ramach** rodzinnego „landszaftu" **i problematyki** kruchtowo - stodolno - ożogowej, poza ramy tego „**landszaftu**" i tej problematyki nie wyrzuciło go nie tylko prawo ewolucji, któremu nie podlega, **ale nawet — jak** już raz zaznaczyliśmy, **a tu dla wyrazistości** powtarzamy **— proces dojrzewania** wojną. Inni łamali **pióra,** szukali nowych, rzucali **stare formy,** męczyli się w swoich **wielokrotnych** narodzinach, wzrastała **się w nich** świadomość poetycka, **a z nią potrzeba** nowych **środków, przeżyć,** doznań, nowego **trudu twórczego. A** Ożóg po staremu **— tak samo w r.** 1947, jak w r. 1937 **— grał i malował.** Właśnie: grał i malował.

Dwa naczelne rygory poetyckie organizujące twórczość Ożoga to muzyczność i obrazowość. Conditiones sine qua non. W melodiach i barwach podporządkowanych tym rygorom wierszy leży ich największa wartość. I jednocześnie: jedyna wartość. Bo z Ożogowego śpiewania „sobie a Muzom" tylko to, co Muzom przynależy, reprezentuje godne uwagi walory. To co Ożóg śpiewa sobie, cały jego autobiografizm i autopanegiryzm przypiskowy, jest gwałceniem poezji, niesmaczną i trochę brudną transakcją, w której dobija się targu o pomnik dla siebie za cenę minimalnego wysiłku twórczego. Przerosty egocentryczne obniżały w pewnym sensie wartość daru, złożonego Muzom, paraliżowały rzeczywistą poetyckość wielu pozycyj Ożoga. Z tym większą radością czyta się wiersze prześlicznych melodyj i barw. Dla przykładu wsłuchajmy się w kilka choćby strof jednego z nich.

Sponad mirtu korowajów
nie płacz, młoda,
gronostajów
welon włóż;
szczęść ci, Boże, malwo żałosna,
wieczna wiosna
i uroda,
gościom służ.
Gwiazda w opadłym promieniu
mrze wieczorem
na strumieniu
welon włóż;
poloneza nucą Jadzi
bracia bladzi
lasem, borem,
gościom służ.
(„Do ślubu" z cyklu „Kraj")

*) Jan Bolesław Ożóg. „Jej wielki wóz", poezje, Kraków, 1947 r., nakł. Oddz. wiejskiego Z.Z.L.P., str. 114.

Wędrówki po scenach polskich

Wspomniałem już kiedyś o dwu gatunkach teatru: o teatrze milczenia i teatrze inscenizowanej publicystyki. Dziś, po obejrzeniu prapremiery Ważyka*) na Małej Scenie w Katowicach, dorzucić muszę do kolekcji gatunek trzeci: teatr niepohamowanego, nudnego i nikomu niepotrzebnego gadulstwa.

„Bankierzy ruin" to sztuka (?) składająca się z szeregu dialogów przeraźliwie nudnych, przeraźliwie naiwnych i, co w warunkach scenicznych stanowi wadę największą, przeraźliwie naciąganych, papierowych, sloganowych.

Jakiś gorliwy zbieracz maksym miałby tu obfite żniwo, choć wiele trzeba by odrzucić truizmów i frazesów — wszystko to jednak razem bardzo niewiele ma wspólnego z teatrem. Nie każdy literat będzie dramaturgiem. Zdanie to jest również oklepanym frazesem — niestety Ważykowi trzeba o tym raz jeszcze przypomnieć, bo jak się okazuje, prawda ta do dziś jeszcze doń nie dotarła.

***

„Bankierzy ruin" są ponad sześćdziesiątą już powojenną prapremierą polskiego pisarza. Niewiele znalazłbyś równych tej pozycji. Chyba... „Stary dworek"...

„Bankierzy ruin" — to „Jasne łany" naszego teatru. Nie ze względu na treść (o niej za chwilę), ale ze względu na partactwo tam filmowe, tu teatralne.

***

„Bankierzy ruin" to ludzie, którzy na ruinach Warszawy i na ruinach przed wojną zajmowanych pozycji doznali złamania kręgosłupa moralnego i w szarpaninie, która nie może zakończyć się jakimś pozytywnym ruchem usiłują znaleźć za wszelką cenę środki do życia na okres dzielący ich od „zmiany na lepsze" od chwili, w której Eliza wróci do swego zamku. Nadzieje ich są złudne.

Kariera bankierów musi się skończyć bankructwem. Postara się o to Kobuz.

Takie jest chyba założenie autora. Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby Ważyk w jakiejś ripoście stwierdził, iż nic a nic ze sztuki nie zrozumiałem. Realizacja bardzo odbiega od przypuszczalnych zamierzeń. Herszt bankierów — Torner, to łamigłówka w stylu futurystycznych malowideł: nie rozróżnisz gdzie nos, gdzie głowa. Aresztowany schodzi ze sceny wprawdzie jako bankrut finansowy, ale daleki od bankructwa ideologicznego Mamy się chyba domyślać, iż dopiero w więzieniu zrozumie i t. d.

W tym samym stylu przedstawione są i inne postacie. Słowa przez nich wypowiadane są sprzeczne z czynami. Jedynie Przasnik i Kobuz są ludźmi, których można spotkać na tym padole. Oni tylko żyją, oni posiadają postacie wyraźne, nie papierowe. Resztę stworzył Ważyk do zawikłanego i rzadko kiedy konsekwentnego gadulstwa.

Reżyseria Wandy Wróblewskiej do reszty pogmatwała całą tę tragikomiczną historię. Torner, którego można było uratować nadaniem mu form karykaturalnych, grzmi patosem ze sceny, jak Żółkiewski ze szpalt „Kuźnicy".

Po spektaklu dopiero przeczytałem w programie, że „Bankierzy ruin" to komedia... i wówczas po raz pierwszy się uśmiechnąłem. Po raz pierwszy i jedyny.

Trudno Powiedzą, że jestem ciemna masa, że nie mam pojęcia. Że nie powinienem zabierać głosu. Przeżyję. Tym bardziej, że oglądałem spektakl łącznie z całą gromadą dziennikarzy reprezentujących nie tylko wszystkie większe ośrodki pisma, ale i wszystkie partie, wszystkie światopoglądy.

Skłamałby ten ze współobecnych, który by teraz mówił inaczej niż ja. W czasie podróży z Katowic do Zakopanego wszyscy twierdzili zgodnie: „Jasne łany" — lub jeszcze gorzej.

Muszę kolegom dziennikarzom i sobie nieco pochlebić i spytać — jeśli my nie wiele z tego zrozumieliśmy, to co ta sztuka robi na Śląsku. Przyjaźń przyjaźnią, ale jakiś sens w teatrze też jest potrzebny.

Zwłaszcza w teatrze na tak trudnym a ważnym terenie.

A aktorzy?

Nic im poza wyrazami współczucia powiedzieć nie mogę. Może Stefan Rydel usiłował nieco naprawić błędy autora, może Krystyna Wydrzyńska ratowała straconą pozycje wdziękiem i ciepłem (nie pasującym zresztą do roli) reszta męczyła się wyraźnie. Śmiało można powiedzieć tylko jedno: Ireneusz Erwan zaprzepaścił postać Przasnika — jedyną postać, z której można było coś zrobić.

***

Wiem o tym, że „Bankierzy ruin" trafią i do Warszawy. Przywiezie je tutaj Schiller. Zobaczymy inną interpretację.

Niestety, a dla mnie, na szczęście. Na premierze warszawskiej łatwo sprawdzić będzie można, że surowość mych słów nie ma jakichkolwiek ubocznych źródeł.

Mieczysław Markowski

P. S. Wszystkich szczerych i nieszczerych ewentualnych obrońców sztuki Ważyka uprzedzam: nie jestem faszystą. Proszę zrezygnować z tego argumentu w polemikach. Pusty śmiech mnie ogarnie jeśli będzie inaczej.

M. M.

*) Adam Ważyk — Bankierzy ruin. Mała Scena Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach.

JAXY MARCINKOWSKIEGO

charakterze miernoty

się wszakże wykręcić zawiózł go do generała Krasińskiego, Koźmiana, zapoznał z Morawskim, Dmochowskim, Osińskim itd. Od tej chwili rozpoczyna się literacka kariera Jaxy Marcinkowskiego, która tyle burz, zamętu, walk i niezgody, tragikomedii i fars wywołała w maleńkim światku literackim ówczesnej Warszawy.

Naturalnym popędem ludzi szukających oparcia i nie czujących się zbyt mocno na nowym gruncie, garnął się Marcinkowski bliżej do domów związanych pochodzeniem czy węzłami pokrewieństwa z Wołyniem, z którego sam pochodził, wyszukując je skwapliwie spośród całego towarzystwa warszawskiego. Stąd też Koźmian i Morawski, których żony były wołyniankami byli przez niego wyraźnie wyróżniani i cieszyli się specjalnymi względami. Do domu generała Krasińskiego znów pociągało go doborowe towarzystwo ze świata literackiego głównie złożone, a zbierające się u niego stale parę razy w tygodniu oraz wyśmienity stół, jako że apetyt miał prawdziwie przysłowiowy. Koźmian stwierdza wręcz, że brzuch miał lepszy niż głowę.

Traf zdarzył, że generał Krasiński, który wydał w tym czasie broszurę o trubadurach stał się przedmiotem licznych napaści i wywołał ostrą krytykę zarzucającą mu liczne błędy i omyłki. Wtedy Marcinkowski stanął jak lew w jego obronie i wypalił odpowiedź w prasie, do której dość zręcznie pozbierał argumenty i dowody posklejane ze strzępków rozmów zasłyszanych poprzednio w Glonie generalskim i tym dowodem Swyjaźni tak mocno zobowiązał sodar Krasińskiego, że ten raz na zawsze otworzył mu swój dom, a tym samym i stół, a nawet wyznaczył mu mieszkanie w swym pałacu, które miał dzielić z sekretarzem generała — Balińskim.

Ten to właśnie Baliński skazany na nieustanne obcowanie z naszym poetą, miał możność podpatrzeć i podchwycić wszystkie jego słabostki i śmiesznostki, a że był to chłopiec sprytny i wesoły, korzystał przeto skwapliwie z każdej okazji, wyciągając go na zwierzenia, by potem dzielić się swymi zdobyczami z generałem i jego gośćmi, co dostarczało powodu do nieustannej wesołości i coraz to nowych żartów.

Tak oto postanowił Krasiński podczas świąt wielkanocnych sprawić Marcinkowskiemu staropolski dyngus i gdy poeta po trudach obfitego śniadania zażywał błogiego snu, Baliński zakradłszy się cichaczem do pokoju, otworzył lufcik i... strumień zimnej wody z sikawki zalał stolik pokryty cennymi manuskryptami oraz łóżko, na którym nasz bohater nie przeczuwając zagrażającego mu niebezpieczeństwa spoczywał pogrążony w słodkich objęciach Morfeusza. Porwał się Marcinkowski jak zwierz spłoszony z legowiska, pierwszym odruchem kochającego ojca, rzucając się w stronę stolika, gdzie leżały najmilsze płody jego muzy, które zazdrosna, a niszczycielska ręka chciała skazać na niechybną zagładę. Zebrawszy piorunowym ruchem rozsiane w koło cenne manuskrypty, wówczas dopiero pomyślał o ucieczce jak „Eneasz z domowymi bogami z pożaru Troi". Niespodziewana ta kąpiel nie zniechęciła go jednak do korzystania z gościnności generała Krasińskiego, ani jego smacznych obiadów. Uzbrojony w Olimpijski spokój, nieomylny znak wyższości ducha, machnął pobłażliwie ręką, mruknął swoim zwyczajem: „głupstwo" i... tego samego dnia jeszcze ze zdwojonym apetytem zmiatał wszystkie dania z półmisków, a wieczorem czynił gospodarzowi gorzkie wymówki, że podstępem chciał go pozbawić owoców tak krwawo wysłużonej sławy, które przecie zdołał uratować.

Wielką uciechę musiał mieć ze swego gościa generał Krasiński, który lubował się w tego rodzaju „zabawach" i który ku wielkiej uciesze, a satysfakcji własnej kłócił ze sobą nieraz i podszczuwał na siebie nawzajem gromadzących się pod jego dachem literatów. Mimo tych zabaw, a raczej dzięki nim, zapuścił Marcinkowski na dobre korzenie w domu generała, który uczynił sobie po prostu jedno z nieodzownych dań na swych słynnych wieczorach literackich, zabawiając się dowoli na jego konto. Tak, czy inaczej zyskiwał Marcinkowski pewną pozycję towarzyską jako stały bywalec w domu generalskim, przysłuchiwał się uczonym dyskusjom, wyszydzał za przykładem Osińskiego „modny" podówczas prąd „zwany" romantyzmem, brał udział w sporach literackich z miną niezrównanego znawcy, co bawiło i śmieszyło niepomiernie jednych, a irytowało drugich. Ambicja jego mogła się rozkoszować zasłużonym tryumfem, — wszedł między elitę towarzyską Warszawy, żył za pan brat z największymi gwiazdami świata literackiego, sam pisał i drukował niemało.

Bo choć trudną do uwierzenia jest to dziś rzeczą, ale jego heroi-komiczny poemat, jego niezapomniany „Gorset" rozchodził się nadspodziewanie dobrze. Nie było domu w Warszawie, gdzieby o nim nie mówiono, nie było człowieka należącego do tak zw. towarzystwa, który by o nim przynajmniej nie słyszał. Ludzie śmieli się, wzruszali ramionami, oburzali na głupstwo, skarżyli na nudę, ale... kupowali. A im bardziej rozchodziło się dzieło, — tym większego też rozgłosu nabierało imię autora.

Najbardziej szanowanym domem stolicy był dom kasztelanowej połanieckiej Lanckorońskiej, staruszki słynącej z wysokich cnót i nieugiętego patriotyzmu, a otoczonej powszechną czcią i miłością. Otóż zdarzyło się, że „pan Zapolski", człowiek wesoły, a krotochwilny „lubiący swawolne żarty między mężczyznami wyprawiać", namówił pewnego razu Koźmiana, by przeczytał kasztelanowej choć parę wierszy z tego osławionego poematu. Otóż opis tej sceny podany według Koźmiana:

„...Upatrzyłem chwilę, gdy staruścianki wyszły, a same tylko mężatki zostały i zacząłem czytać wydatniejsze wyjątki. Staruszka zaczęła czoło chmurzyć, a gdy przyszedłem na „przybytek miłości, którego brykle i rogi strzega" i „na sznurowanie którego tasiemka pęka, a globiste kłęby służebnic jęk wydały", kasztelanowa ręką dając zakaz wzbraniający dalszego czytania, zawołała: „A pfe, a pfe" i odebrawszy mi książkę podała Zapolskiemu mówiąc: „Wyrzuć to za drzwi, wyrzuć, spal, niech w domu moim nie postoi. Co to za drukarnia, która to wydrukowała...". Ledwo wyprosiłem książkę od ognia mówiąc, że jest to nieoszacowany fenomen głupstwa w historii literatury. „Trzymaj go więc sobie, ale do mego domu nie przynoś", orzekła z godnością dawnej matrony polskiej pani kasztelanowa, połaniecka i... na tym się cały epizod skończył.

Ale wraz z rosnącą sławą wzrastała też rozbudzona nagle drażliwość wołyńskiego poety. Czując już mocniejszy grunt pod nogami obrazil się na Morawskiego za wiersz pt. Nowy Parnas i na generała Krasińskiego, w którego domu wiersz ten został publicznie odczytany i który nader chętnie palce we wszelkich intrygach literackich maczał i zerwawszy — nie na długo zresztą — z domem generalskim, — przeniósł teren swej działalności towarzyskiej na dom Mokronowskich, Koźmianów i PP. Kanoniczek. Jak w domu generała Krasińskiego zabawiano się jego wierszami, tak tu sama osoba niefortunnego wierszokletу, — czterdziestoletniego muz kochanka służyła za przedmiot do zabawy w przeróżnych zasadzkach gier towarzyskich, jakie tam na niego zastawiano.

Kobiety, których wdzięki tak gorliwie wysławiał Marcinkowski, — jak niegdyś Tybul i Horacy — według jego własnego porównania, często brały go zresztą w obronę przed żartami mężczyzn, przeważnie jednak z winy samego Marcinkowskiego najzupełniej bezskutecznie, gdyż on sam bezgranicznie pewien siebie, swoich wierszy i sławy, zwracał zazwyczaj rozmowę na najbardziej drażliwe tory. Tak oto gdy miał być pewnego razu na obiedzie u Koźmianów żona jego pochodząca z Wołynia i znająca Marcinkowskiego z panieńskich jeszcze czasów, zastrzegła sobie, żeby mu dano na ten raz spokój i nie ostrzono sobie na nim dowcipu, co też jej przyrzeczono uroczyście. Marcinkowski wszakże i tym razem własnowolnie pokrzyżował jej altruistyczne plany wszczynając niebacznie rozmowę o literaturze i swoich utworach i roztaczając żale na Morawskiego za jego wiersz, zwłaszcza zaś nieszczęsny epitet „dzielny".

„Rozumiem co to znaczy", mówił z urazą, dumnie potrząsając głową, „zazdroszczą mi i starają się przeszkodzić mej reputacji zdobytej tylu dziełami. Przecież mając takie zasługi należy mi się raczej szacunek, niż prześladowanie!"

Słysząc te słowa Osiński, — pisarz i dyrektor teatru w jednej osobie, uznany powszechnie za pierwszego poetę w kraju, mając dość jego wiecznych żalów i utyskiwań, zdecydował snać, że nadszedł czas by jednym cięciem otworzyć mu oczy i położyć kres nieznającemu żadnych granic zuchwalstwu i zaślepieniu.

„Ja ci się okażę prawdziwym przyjacielem", — ozwał się do zaskoczonego „wieszcza", „i powiem co ci przeszkadza do poważania, na które z innych względów zasługujesz i co cię naraża na pośmiewisko wszystkich ludzi oświeconych".

„Proszę", odparł Marcinkowski zaintrygowany tą przemową, nie przeczuwając jak straszliwą prawdę miał usłyszeć.

„Oto piszesz niedorzeczne wiersze", wypalił Osiński bez ogródek, „zrzeknij się manii wierszoklectwa, a nikt z ciebie żartować nie będzie".

Ci którzy znali bliżej Jaxę Marcinkowskiego musieli wiedzieć, że słowa te będą stanowić dla niego cios zadany prosto w serce, nikt się wszakże nie spodziewał, jaki efekt one wywołają. — Oto Jaxa zemdlał, po prostu zemdlał, jak mdleją w powieściach zdradzone przez kochanków, lub nazbyt brutalnie ręką życia dotknięte kobiety. Ruch się zrobił wielki, musiano go trzeźwić wodą kolońską, a Osiński patrząc na zamieszanie wywołane swymi nieopatrznymi słowami, żałował pewno po niewczasie swego porywu szczerości. Przyszedłszy do siebie dał dopiero nasz poeta pełny upust oburzeniu.

„Co ten lichy i zazdrosny pijarek, prócz siebie nie pozwala nikomu wierszy pisać", wołał wypadłszy jak burza z pokoju, „cóż on zrobił! Ja w jednym miesiącu więcej napisałem, niż on przez całe życie!"

A trzeba wiedzieć, że był to jego ulubiony argument, na który się przy każdej okazji powoływał, czyniąc przymówki do małopłodnej istotnie „wynędzniałej muzy pseudoklasyków.

Wreszcie Koźmian jako gospodarz mocniej od innych zakłopotany perspektywą zepsutego obiadu — grzecznie lecz stanowczo przerwał te biadania:

„...napisz jeden wiersz taki jak Osiński, a wszyscy prosić cię będą o więcej, na koniec pisz, nie pisz, ale nie psuj nam obiadu".

Słowo obiad magiczne zaprawdę musiało mieć znaczenie dla Marcinkowskiego, skoro bez specjalnego trudu dał się namówić na powrót do jadalni, a już do reszty rozpromienił się przy deserze, gdy na wety rozdał wszystkim gościom bilety prenumeracyjne na swoje pisma.

„To go dopiero ukołysało", dodaje Koźmian z lekką ironią.

Ale prawdziwa burza śmiechu, żartów, dowcipów, anegdot i... wierszy rozszalała się nad głową naszego wierszokletу dopiero z chwilą przyjazdu z Wołynia do Warszawy hr. Gustawa Olizara, słynącego szeroko z wesołości i dowcipu, a który jako „krajan" Marcinkowskiego był niewyczerpaną kopalnią nieznanych jeszcze na gruncie warszawskim facecji, anegdot i opowiadań o nim. Jaxa, który się już był pogodził w tym czasie z domem Krasińskich, spotykał się często z Olizarem na proszonych obiadach i był wtedy naprawdę centralną osobą całego zgromadzenia. Wesołość i rozbawienie gości dosięgało szczytu, kiedy Jaxa rzucał się zaperzony do zaprzeczania lub prostowania wersji rozsiewanych przez Olizara z zapałem, zacięciem i werwą godniejszymi zaprawdę większego i poważniejszego tematu.

W tym to czasie również powstało dzieło zbiorowe wydane przez Krasińskiego pt. Niesnaski Parnasu, składające się z wiersza: Do autora Parnasu Nowego przez Koźmiana, drugiego wiersza pod tym samym tytułem przez nieznanego autora, wiersza do generała Krasińskiego przez Morawskiego oraz wiersza Podróż na Parnas i bohaterskiego poematu Jaxiada, którego autorem był Olizar.

Obok olizarowskiej Jaxiady istnieje jeszcze i druga Jaxiada o tym samym charakterze co i pierwsza, nie drukowana już, lecz pozostająca w rękopisie, a napisana przez Konstantego Gaszyńskiego przyjaciela Zygmunta Krasińskiego. W żartobliwym tym poemacie, zapożyczywszy wiele pomysłów od swego poprzednika, opisuje Gaszyński niezwykłe przygody Jaxy, któremu Mefistofeles wykrada we śnie poetycką wenę i uchodzi z nią do piekieł. Cały Olimp rozbrzmiewa echem sprawy Jaxowej. Wreszcie po długiej naradzie bogów Jowisz decyduje się wrócić poecie wenę, lecz że dawniejsza — skradziona przez Mefistofelesa — zginęła w czeluściach piekielnych, obdarowuje go weną romantyczną i tak oto z zakamieniałego klasyka staje się Jaxa Marcinkowski poetą romantycznym. Obok satyry na osobę Jaxy jest Jaxiada Gaszyńskiego w równym stopniu satyrą na romantyzm, jak to widać wyraźnie z rad udzielanych Jaxie przez Mefistofelesa, jako też i z faktu uczynienia z naszego bohatera, będącego celem powszechnych drwin, tak niemiłosiernie przez cały obóz wyszydzanego — poety romantycznego. Faktem jest zresztą, że romantycy niejednokrotnie brali w obronę Marcinkowskiego przed atakami pseudoklasyków twierdząc złośliwie, że nie był on wcale gorszym od wielu luminarzy obozu klasycznego.

Jakkolwiek bezgraniczna była pewność siebie i zarozumiałość naszego poety, to jednak nie mógł on pozostać zupełnie głuchy i ślepy na wszystko, co się wokół jego osoby działo i nieraz zapewne zdarzały się chwile, gdy wielka Warszawa musiała się wydawać zbyt ciasna i duszna dla niego.

Wtedy to w samą porę przyszła propozycja generała Morawskiego, który zmuszony przenieść się do Lublina dla objęcia brygady strzelców pieszych, nudził się tam śmiertelnie i aby się rozerwać, umyślił ściągnąć do siebie Marcinkowskiego, wmawiając w niego, że „gościnny Lublin lepiej potrafi go ocenić, niż niewdzięczna Warszawa". Ukołysany słodkimi marzeniami, olśniony świetnymi widokami roztaczanymi przed jego oczami przez Morawskiego, obiecującego mu uprzedzić o jego przybyciu publiczność, otworzyć drogę do sławy przez urobienie odpowiedniej opinii i przygotowanie gruntu, puścił się nasz „wieszcz" ochoczo w drogę do Lublina.

Morawski przyjął go z wielkimi honorami należnymi tak wielkiemu poecie, publiczność równie owacyjnie zgotowała mu przyjęcie. Zamieszkał oczywiście w domu generała Morawskiego, a nawet otrzymał od niego do swojej dyspozycji karetę. A nie było podobno śmieszniejszej rzeczy, jak widok Marcinkowskiego rozbijającego się po mieście generalską karetą, wychylającego na wszystkie strony swą rozpromienioną twarz i rozdającego wkoło z iście monarszą łaskawością i godnością swe uśmiechy i ukłony. Już to samo musiało stanowić niebywałą atrakcję dla nudzącego się generała.

Dobrze działo się w Lublinie naszemu poecie. Najmożniejsze, najznakomitsze domy okoliczne stały dla niego otworem, damy których wdzięków wciąż jeszcze był zapamiętałym piewcą, nie szczędziły mu swych względów. Cóż więc dziwnego, że w dymie tych kadzideł pochwalnych i rosnącej wciąż sławy, rozkwitała muza Marcinkowskiego tak wspaniale i obficie jak nigdy dotąd, osiągając szczyt swej płodności. Wiersz poemat pt. „Pobyt w Lublinie", opiewający miasto i ludzi, w którym nie wahał się przekazać ku wiecznej czasów pamięci potomków najznakomitszych rodzin lubelskich, komedia „Pszonka", osnuta na tle dziejów Rzeczypospolitej Babińskiej, częściowo zaś poematy „Rzeki" i „Piast" — oto główniejsze owoce jego nad wyraz płodnej muzy, nie licząc już drobnych wierszy poświęconych przeważnie płci pięknej, jak np. następujący czterowiersz „Do Gruszeczki", a poświęcony i ofiarowany p. Gruszeckiej:

„Pani, jakże się miło z twym nazwiskiem pieścić.
Gdybyś mi pozwoliła jedno zet umieścić,
Urósłby z tego owoc luby i soczysty,
Nie szatan by nim kusił, ale anioł czysty"

itd. arcydzieła.

Wszystkie te utwory cieszyły się w swoim czasie znaczną, a najzupełniej zasłużoną popularnością, bo też z każdym z nich wiąże się jakieś zabawne zdarzenie, anegdota, w której generał Morawski najczęściej maczał dłonie, jakoże Jaxa obrał go sobie za powiernika, zwierzając mu się ze wszystkich swoich zamierzeń, planów i trudności, z czego Morawski — ów kpiarz niezrównany, korzystał skwapliwie, by go z jednej śmieszności popchnąć w drugą.

d. c. n.

„DZIŚ I JUTRO" Nr 12 (121)

W kraju...

USTAWA O PEŁNOMOCNICTWACH DLA RZĄDU.

Przy uchwalaniu pełnomocnictw dla Rządu na czas między sesjami Klub Poselski Katolicko-Społeczny wstrzymał się od głosowania, podobnie jak to było w roku zeszłym. Przemawiając na Komisji Prawniczo - Regulaminowej poseł Frankowski przypomniał oświadczenie Premiera złożone w imieniu Rządu 21 lutego 1947, w którym to oświadczeniu Premier zapewnił Sejm, że mimo posiadanych pełnomocnictw Rząd przy wydawaniu dekretów będzie zasięgał opinii właściwych komisyj sejmowych.

PLANOWE UPOWSZECHNIENIE CZYTELNICTWA.

Rada Państwa obradująca pod przewodnictwem Prezydenta R.P. powzięła na swym ostatnim posiedzeniu szereg uchwał dotyczących sprawy upowszechnienia czytelnictwa. Stwierdziwszy brak ogólnego planu wydawniczego i przypadkowość wielu ukazujących się w druku książek — Rada uznała za konieczne powołanie organu, którego zadaniem byłoby m. in. opracowanie planów wydawniczych w zakresie akcji upowszechnienia książki, przede wszystkim zaś planu na rok 1948/49. Na zasadzie tych wytycznych w dniu 8 bm. powołany został do życia Komitet Upowszechnienia Książki w składzie: Min. Stanisław Skrzeszewski, dr. Henryk Kołodziejski, wicemin. Henryk Jabłoński, wicemin. prof. Leszczycki, Zofia Nałkowska, prof. Pieńkowski, prezes Ignar oraz delegat ministra Kultury i Sztuki.

Powyższe doniosłe zdarzenie w naszym życiu kulturalnym należy uważać za dalszy etap zainicjowanej mową wrocławską ofensywy kulturalnej Państwa w dziedzinie kultury. Planowanie kulturalne na skalę państwową jest w Polsce zjawiskiem bez precedensu i dlatego musi nosić wszelkie znamiona eksperymentu.

Przed Komitetem Upowszechnienia Książki piętrzy się ogromny kompleks zagadnień, których właściwe rozwiązanie nie będzie na pewno należało do rzeczy łatwych. Sprawa jest ogólnonarodowa i nie sądzimy, że rola społeczeństwa skończyć się tu ma na entuzjastycznym poparciu udzielonym inicjatywie Rządu. Dyskusji, która się na ten temat toczy od szeregu miesięcy na łamach naszych periodyków literackich nie można uważać za ukończoną. Nie wystarczy stwierdzenie konieczności planowania, trzeba ustalić możliwości realizacji tego odważnego i koniecznego przedsięwzięcia. Czytelnicy, autorzy i wydawcy muszą tu mieć głos decydujący. Dlatego bynajmniej nie zadawala nas stanowisko Zarządu Polskiego Towarzystwa Wydawców, kiedy radośnie wita uchwałę Rady Państwa. To jest zrozumiałe samo przez się. Polski nie stać na luksus gestów pozbawionych wagi gatunkowej. Wkład pozytywny Towarzystwa Wydawców w dzieło planowania kulturalnego na pewno nie powinien polegać na czczej aklamacji. Potrzebę planu rozumie dziś każdy myślący obywatel. Panowie wydawcy lepiej by zrobili przedstawiając Komitetowi Upowszechnienia Książki, opracowany przez siebie projekt wprowadzenia tej szczytnej idei w życie. Powtarzamy raz jeszcze: Inicjatywa opiniodawcza w tych sprawach winna należeć do społeczeństwa. Komitet wtedy najlepiej wypełni zadanie ciążące na nim, jeśli rolę swą ograniczy do roli nadrzędnego organu wykonawczego; uciekając się do analogii politycznej winien on pełnić jakgdyby rolę „rządu" wobec „parlamentu" potrzeb narodowych.

Wanda Kieszkowska

ŻYWOT KAJETANA

Studium o absorbującym

Pocieszną zaprawdę, iście operetkową postacią był pan Kajetan Jaxa Marcinkowski, prawowity potomek słynnego niegdyś rodu, Jaxów Miechowitów — rymotwórca sławny, a nad wyraz płodny, którego imieniem rozbrzmiewała w pierwszych dziesiątkach zeszłego stulecia cała Polska — jak długa szeroka — od błot i lasów Wołynia aż po Wielkopolskę i górniczy Śląsk.

A pierwszy głos w tym chórze trzymała oczywiście Warszawa, nie dając się przez żadne inne miasto, ni prowincję wyprzedzić. Generał Franciszek Morawski autor dwóch wierszowanych listów do Romantyków i Klasyków, który również z wielkim powodzeniem sztuką literacką się parał, — jeden z najweselszych i najdowcipniejszych ludzi swego czasu, przeniesiony z Warszawy do Lublina, raz po raz wspomina imię Marcinkowskiego w listach pisanych do swego przyjaciela Kajetana Koźmiana, radcy stanu Królestwa Kongresowego i także poety wielce cenionego przez współczesnych, oraz syna jego Andrzeja, jako też i generała Wincentego Krasińskiego, mającego pierwszy salon literacki w stolicy. Jeden z nich zwłaszcza, w którym Morawski roztrząsa przyczyny łatwej sławy Marcinkowskiego zasługuje na uwagę, gdyż podkreśla bardzo wyraźnie to, co zresztą wszyscy w tych jego nadętych i płaskich wierszydłach widzieli, śmieszność i głupstwo, co wszakże nie zmieniało faktu, że przez pewien okres czasu między rokiem 1815 a 1830 mniej więcej cieszył się nasz pan Jaxa Marcinkowski dość specjalną wprawdzie, lecz zgoła niepoślednią sławą. Od razu po przybyciu do Warszawy znalazł się nasz poeta w samym środku walk rozgorzałych około jego osoby, niezliczone epigramaty biły weń jak osy, krążyło o nim tysiące anegdotek, facecji i opowiadań, dostarczał poetom natchnienia do ballad i ód, ba, całych poematów, epopei nawet na bohaterską zaprawdę zakrojonych miarę.

Franciszek Salezy Dmochowski pisze o nim w swych wspomnieniach, że w dziejach Królestwa Kongresowego Jaxa Marcinkowski był tym, czym August Bielawski za Stanisława Augusta, Franciszek Morawski porównywa go do osławionych wierszokletów wileńskich Kiszki i Molla, jako też i głośnego z płodności swej muzy Jacka Przybylskiego, zaś już za naszych czasów Aleksander Kraushar zestawia go z inną znakomitością tego samego rodzaju, choć późniejszego, bo Paskiewiczowskiego już okresu, niejakim panem Rozmiar Rozbickim, autorem niezrównanego w swej skrajnej prostocie i wyrazistości wiersza:

„I tu skała i tam skała
A kamienie drała, drała!"

Rodem był imć pan Jaxa Marcinkowski z Wołynia, jak to utrwalił ku wiecznej czasów pamięci generał Morawski w wierszu pt. Nowy Parnas, w którym wyśmiewając wszystkich niepowołanych wierszokletów, urządzających tryumfalny najazd na polski Parnas, nie pominął oczywiście, bo i jakże się to zdarzyć mogło i naszego Marcinkowskiego.

„Pędzi z wołyńskich krajów Marcinkowski dzielny..."

Wiersz ten odczytany u generała Krasińskiego — ojca Zygmunta, w obecności samego Marcinkowskiego, napoił go wielkim oburzeniem i goryczą. Ciekawym przyczynkiem do jego charakterystyki jest fakt, że nie tyle rozgniewał go sam wiersz, ani niezbyt pochlebna, choć doborowa kompania, w jakiej został umieszczony, ile właśnie sam epitet „dzielny", co miało oczywiście ten efekt, że odtąd każdy poeta, zabawiający się układaniem wierszy na Marcinkowskiego, co przez pewien czas stanowiło wyraźny nakaz mody, tym właśnie przymiotnikiem z największym upodobaniem go darzył.

Poważny, a pełen godności sensat Koźmian, spoglądający na życie i pracę literacką pod kątem obowiązku i służby ojczyźnie, z niejakiem zgorszeniem i niesmakiem opisuje scenę pierwszego spotkania z Marcinkowskim. Miało ono miejsce w domu księstwa Jabłonowskich na Wołyniu w Annopolu. Koźmian, którego żona była wołynianką i którego łączyły więzy pewnej przyjaźni z guwernerem księstwa Jackiem Kruszyńskim, dobrym poetą i tłumaczem, korzystał zawsze z pobytu w rodzinnych stronach żony, by zajrzeć i do Annopola. Razu pewnego tedy, gdy całe towarzystwo z księżną na czele zgromadziło się w salonie w oczekiwaniu na obiad, rozległ się nagle niebywały szum, ruch, hałas i śmiechy, a po chwili do pokoju wpadło pięć młodych i jak nas zapewnia Koźmian pięknych panien, prowadząc za sobą w tryumfie „dość" jeszcze młodego, około trzydziestu lat liczącego mężczyznę. Był to imć pan Kajetan Jaxa Marcinkowski we własnej osobie. Wyglądał wtedy jeszcze dość okazale, — wymuskany, opięty i wyfraczony, twarz miał rumianą świadczącą o dobrym zdrowiu i nienajgorszym apetycie, dyszącą pogodą i spokojem pełnym nietajonego zadowolenia ze siebie. Odpowiadając z dobrą miną i wielką galanterią urodzonego szarmanta na zaczepki panieńskie, przyjmował je po trochu od niechcenia, niby hołd należny sobie, jak człowiek nawykły do skupiania na sobie ogólnej uwagi wszędzie gdziekolwiek się pokazał. Panny zaś dostawszy w swe ręce tak pożądanego snać gościa, nie ustawały w atakach i skacząc wokół niego wołały jedna przez drugą:

„A elementa, a elementa?!"

Poeta dumnie błysnął okiem i po kieszeniach ulubionym ruchem się pomacał.

„Są, są i będą!"

Radość i uciecha panien dosięgła wtedy szczytu. Jedna z nich Stecka — późniejsza Józefowa Lubomirska zasiadła do fortepianu, druga Dutkiewiczówna, która została potem żoną Jana Potockiego, — „najpuściejsza" z całego grona, — jak zaznacza Koźmian, — porwała go do tańca, następnie przechodził nasz bohater w objęcia drugiej i trzeciej, a każda wykręcała i wytrząsała nim na wszystkie strony. On zaś krygując się ucieszenie, a zalotnie, strojąc błogie miny, z serca, z duszy wywijał zapamiętale, bił hołubce, aż wreszcie u kresu sił, bez tchu prawie, zziajany i spocony upadł na krzesło, jako że istotnie przy dość znacznej już wtedy tuszy wysiłek był nadmierny.

„Elementa tak mnie zmęczyły, że już czytać nie jestem w stanie", rzucił żartobliwą pogróżkę.

Ale płoche i już na dobre rozbawione panny ani myślały wyrzec się uplanowanej, a snać ulubionej rozrywki, na którą się tak bardzo cieszyły. Obskoczyły go tedy z krzykiem, wołając:

„Czytaj, czytaj, czytaj..."

„Czytaj", poparła je księżna sama, „bo inaczej się ich nie pozbędziesz!"

Marcinkowski na to tylko i czekał. Byłby przecież niepocieszony, gdyby umilkły bez nalegania, gdyby tak wspaniała gratka popisu go ominęła. Rozsiadł się tedy wygodnie w fotelu i ruchem pełnym ukontentowania wydobył manuskrypt. W takiej właśnie pozie musiał go uchwycić portrecista z Bożej łaski Jakub Sokołowski, którego ołówek uwiecznił też obok naszego poety, wiele innych jeszcze wydatniejszych postaci ówczesnego świata warszawskiego. Karykatura Marcinkowskiego specjalnie była udana. Jakież głębokie ukontetnowanie widnieje w uśmiechu, jak zabójcza pewność siebie w ruchu głowy i rąk, z których jedna trzyma poemat, druga zaś gestem od słów wymowniejszym podkreśla treść odczytywanych słów.

Wiersz pt. „Elementa" poświęcony był chwale panien, z których każdą porównywał do jednego z czterech elementów natury: ziemi, ognia, powietrza i wody. Zanim przystąpił do czytania, potoczył tryumfalnie okiem po zgromadzeniu z góry pewien zwycięstwa.

„Oto są cztery elementa", wygłosił z powagą i namaszczeniem, zaczerpnąwszy tchu w piersiach.

Przed opisem każdego nowego zjawiska zwracał się do swego wdzięcznego audytorium, zachęcając je do zgadywania, którą to z nich mianowicie teraz miał na myśli. A stateczny Koźmian przysłuchujący się z Jackiem Kruszyńskim tej arcyzabawnej, błazeńskiej, a prawie nieprzystojnej lekturze, dziwował się zgorszony pełnym dwuznaczników i rubaszności żartom w niej zawartym, których znaczenia wszakże nie tylko skromność panieńska, ale i sam autor „nieuk i niezgraba" nie rozumiał chyba wcale.

Pierwsza rozmowa pozwoliła przejrzeć Koźmianowi do dna płaską, przesyconą samochwalstwem, zaślepioną w sobie duszę domorosłego wierszoklety. Zrazu nie wiedząc kogo to miał przed sobą, a nie chcąc rzecz prosta narażać na szwank swej powagi i godności przez zadawanie się z ludźmi niewiadomej kondycji i pochodzenia, ignorował całkowicie Koźmiana, cały potok swej wymowy zwracając wyłącznie na Jacka Kruszyńskiego. Mówił mu tedy z pewnością siebie nie uznającą żadnego sprzeciwu, ni załamania, że panny powinne być kontente z jego wiersza, gdyż „wdziękiem poezji starał się wyrównać ich wdziękom", że go to nawet „nie kosztowało jak godzinę", bo „kiedy się ma serce czułe dla płci pięknej — myśli i wiersze same płyną" itd. Dopiero kiedy się już dobrze był wywiedział od Kruszyńskiego kogo to miał przed sobą, przystąpił do Koźmiana z wielkim wylaniem, nazwał bratem w Apollinie, jął się szczycić i przechwalać koligacjami z szeregiem znaczniejszych domów kresowych, a przyjaźnią z Felińskim, sławnym autorem Barbary Radziwiłłówny oraz z generałem Kropińskim, którego Ludgarda zdobyła sobie wówczas znaczny rozgłos i powodzenie. Ze słów jego wynikało również jak na dłoni, że znajdował się w nader zażyłych stosunkach z Czackim, uczonym Czackim, o którym zresztą odzywał się z lekką przymieszką wyższości i pobłażania, a który wedle jego słów chciał go mianować wizytatorem, którego to zaszczytu zmuszony był jednak się wyrzec, jako że praca ta nie dawała się pogodzić z rozpierającą go weną poetycką itd. W oświetleniu Kruszyńskiego, który w odpowiednim momencie udzielił Koźmianowi wyczerpujących informacji, sprawa z Czackim przedstawiała się nieco inaczej, a nawet wręcz odwrotnie. Oto Czacki — jak później Koźmian i Osiński —zapragnął odciągnąć Marcinkowskiego od pisania niedorzecznych wierszy i próżniaczego życia, a zaprząc do jakiej pożytecznej roboty i w tym celu poddał mu myśl, by włócząc się po całym Wołyniu, sporządził przynajmniej spis szkółek elementarnych, co wystarczyło Marcinkowskiemu do przywłaszczenia sobie tytułu wizytatora, choć z wypełnieniem zadania niezbyt się jakoś kwapił. Przy tej sposobności opowiedział Kruszyński zabawną anegdotę, która świadczyła o tym, że już wtedy był nasz wierszokleta pośmiewiskiem całego Wołynia, jak potem stał się pośmiewiskiem Warszawy i całej Polski.

Oto Czacki, wielki Czacki przy całej swej uczoności i powadze lubił w chwilach wolnych od zajęć wziąć udział w wesołej, niefrasobliwej zabawie. A były to właśnie czasy, gdy przeróżne gry towarzyskie święciły swe największe tryumfy, ciesząc się zawsze wielkim powodzeniem. Dowiedziawszy się tedy, że żona jego zamierza urządzić szaradę historyczną w paru obrazach, postanowił wziąć w niej udział, a przybrawszy do pomocy Marcinkowskiego, sprawić mu zarazem wesołego figla. A że reminiscencje klasyczne wciąż jeszcze cieszyły się największymi względami u koryfeuszów naszej literatury tej epoki, więc też i Czacki wybrał sobie do zilustrowania scenę z Iliady, gdy Eneasz wynosi ojca swego Anchizesa z płonącej Troi. Anchizesa miał przedstawiać Czacki, rola bohaterskiego zaś Eneasza przypadła w udziale Marcinkowskiemu. Niestety, cała ta efektowna scena skończyła się wielką kompromitacją dla naszego poety, (na co też Czacki i liczył), autor figla bowiem, który odznaczał się wielką otyłością, wgramoliwszy się na plecy Marcinkowskiego, przytłoczył go zupełnie swym ciężarem, przeginając ku ziemi, tak że z wielkim trudem ledwo, prawie na czworakach dowlókł się do drzwi salonu. Na ten widok niebywała uciecha porwała całe towarzystwo, rozległy się liczne brawa i śmiech powszechny.

Ale wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Marcinkowski się obraził, pierwszy raz chyba w życiu spostrzegłszy, że sobie z niego żartowano. W wielkim gniewie tedy zrzucił Czackiego z pleców na ziemię i wypadłszy juk burza z salonu, wsiadł w powóz i przez dłuższy czas nie pokazał się w Porycku u Czackich.

Zaufany tedy w sławę i popularność swego imienia, a niedostrzegając śmieszności, jaką było otoczone, uznał wreszcie zapewne Wołyń za zbyt ciasne pole popisu dla swej działalności literackiej i zaopatrzony w listy polecające wypuścił się w drogę do stolicy z kieszeniami, teką i głową wypchanymi przeróżnymi odami, elegiami, balladami, epigramami, dramatami, poematami itd. itd. rozpierany pragnieniem zdobycia świeżych laurów na szerszych już tym razem wodach. Zwłaszcza wielkie nadzieje pokładał w heroikomicznym poemacie pt. „Gorset", opiewającym jak to wieść pokątna niosła, dzieje gorsetu córki Adama Rzewuskiego, kasztelana witebskiego. W drodze do stolicy zajechał w radomskie do p. Małachowskiej, dedykował jej ten poemat i dopiął tego, że zgodziła się wydać go na swój koszt wraz z innymi wierszami pod ogólnym tytułem „Zabawy dla płci pięknej poświęcone, własne i tłumaczenia, przez K. Jaxę M.".

W Warszawie pojawił się Marcinkowski około 1818 r. Rozpromieniony z powodu świeżego sukcesu u p. Małachowskiej, udał się prosto pod opiekę Jana Tarnowskiego, krewnego Czackich i jak na dobrego strzelca przystało mierząc od razu wysoko, prosił o zapoznanie go z najwybitniejszymi przedstawicielami świata literackiego oraz o wprowadzenie i polecenie do wszystkich znakomitszych domów stolicy. Koźmian zapewnia, że Tarnowski bardzo niechętnie podjął się tego wątpliwego zaszczytu i zgoła niewdzięcznego, a uciążliwego zadania, zwłaszcza po przeczytaniu osławionego poematu, ofiarowanego mu przez autora zaraz podczas pierwszej wizyty, nie mogąc

Profesorowie zaczęli Schulza obchodzić z daleka. W trudnej sytuacji znalazł się najpoczciwszy pod słońcem polonista uwielbiany Mścisio Mściwujewski, bo nie mógł się przyznać kochany profesor myślący wciąż kryteriami estetycznymi i literackimi Anhellego i Pana Tadeusza, że nie bardzo to rozumie. Ani pochwalić, ani zganić! Ten cichy, mały profesor Schulz, z którym nikt się poważnie nie liczył „ten od rysunków pogardzonych i robót ręcznych — urósł. Wiedziano, że talent, ale go nie rozumiano. Groźne pochrząkiwania dyrektora Kaniowskiego były mniej groźne na widok Schulza. Raz w zastępstwie dano Schulzowi parę wykładów propedeutyki filozofii i psychologii — to niemal go na rękach wynieśli z klasy rozentuzjazmowani uczniowie.

Gdy w jakiś czas później wydał Schultz swe „Sanatorium pod klepsydrą" nimb tego, że „napisał książkę" zaczął blednąć, bo wszyscy zgodnie krzyczeli, że to chore, że to kuku, że mój Boże po polsku a nic z tego człowiek nie rozumie...

Dopiero — i jest to bardzo charakterystyczne dla naszych nie tylko drohobyckich stosunków — trzeba było, żeby przyjechał do Polski z Włoch Massino Bontempelli, który powiedział, że przyjechał skontaktować się z Schulzem i Gombrowiczem, trzeba było dopiero opinii cudzoziemca, by Schulza w rodzinnym mieście zaczęto doceniać i szanować.

Było to po maturze, gdy to człowiekowi wydaje się, że już chyba jest najmądrzejszy na świecie — w naszym włóczęgowskim piśmie „Włóczęga" (podtytuł: wychodzi kiedy chce) napisałem drugą fraszkę, głupią i naiwną rozpaczliwie, ale cóż było robić. Był to wyimaginowany wywiad z Brunonem Schulzem, który żali się na niepopularność w mieście i na nieprzyznanie mu Nagrody Młodych — i zapowiada napisanie kilku powieści pod następującymi tytułami: Cynamon w Klepsydrze, Klepsydra z cynamonem, Sanatorium cynamonowe i Sklep z klepsydrami. Było to wszystko nieudolne i rymowane częstochowsko, ale podobało się Schulzowi, no i mnie samemu. Od tego czasu jakoś więcej mnie polubił i częściej zapraszał do siebie, jak i zapraszał młodego Bogusia Marshalla, który świetnie zapowiadał się w rzeźbie.

Nieudolne te wspominki nie mają pretensji przyczynkarskich ani odbrązawiających Nie. Sympatia jaką czułem ku Profesorowi, granicząca prawie z cichym i niedyskutowanym z nikim uwielbieniem, mimo, tego, że przecież u Niego w starym, cichym domu na Bednarskiej rzadko bywałem — po prostu kazała mi opowiedzieć parę zdarzeń, nic nie znaczących pewnie dla Niego, a dla mnie ważnych i dużych — by na ich tle przywołać ze wspomnień tę niezwykle sympatyczną i ciekawą sylwetkę ukochanego dziwaka Brunona Schulza, który smarkaczy z cielęcych lat uczył rysunków i robót ręcznych w drohobyckim gimnazjum i wspaniale uczył być człowiekiem. A sztuka to trudna.

Andrzej Chciuk.

Jerzy Mikke

Znamiona naszych czasów

Kiedy zaraz po wojnie, jeden z przywódców Labour Party ogłosił w najstarszym parlamencie świata, że „Europa idzie na lewo", — w zdaniu tym, które podchwyciła z radością lewica całego kontynentu, było również mało proroctwa, jak wiele oczywistości.

Oczywistym jest bowiem przewrót w stosunkach, ludziach i pojęciach jakie wywołała druga wojna światowa.

Obecny chaos światowy jest oznaką kryzysu cywilizacji wielkokapitalistycznej, rezultatem wiekowego impasu w jaki wprowadziła ludzkość naszego stulecia technika i pieniądz z jednej strony, a ogólny upadek moralności z drugiej.

Jeśli dzisiaj bowiem, w przeciwieństwie do beztroskiej sielanki wilsonowskiego Wersalu, pokój rodzi się w blaskach eksplozji Bikini, świadczy to najlepiej, że ogólnodziejowe przesilenia dobiegają swego dna, oraz, że stare recepty, w imię których walczono przez półtora wieku, w obecnych koncepcjach świata okazują się niewystarczające. Dzisiaj sięga się do źródeł kryzysu, do etyki ludzkiej, narodowej i ponadnarodowej. Jak Norymberga jest pierwszą próbą odpowiedzialności zbiorowej narodu za posłuch wobec zbrodniczego choć suwerennego prawodawstwa, tak O.N.Z. ma być pierwszą próbą ogólnoświatowego prawa do wolności, pokoju i pracy każdego społeczeństwa, prawa którego zapoznanie grozi utratą niepodległości. Źródłem każdego prawa jest moralność. Laickie pojęcia etyki są mgliste i względne, jak kapryśna jest liczba głosujących w O. N. Z. za przyjęciem danego prawa, lub jego odrzuceniem.

Przyszłość świata zależeć będzie od stopnia, w jakim chrześcijańskie zasady moralności przejdą do prawa obowiązującego Trybunał Narodów.

Czysty rozum stworzył drugi okres epoki nowożytnej, nadając materialistyczny i utylitarny sens jej świadomości kulturalnej.

Zasadniczy błąd ówczesnych katolików polega na tym, że utożsamiając prawa naturalne z ginącym od rewolucji francuskiej ustrojem feudalnym, nie wzięli aktywnego udziału w ogólnych przemianach, lecz je jedynie potępiali. Związani z wielkim i drobnym rolnictwem przestali być siłą twórczą dokonywującej się rewolucji. Zamiast ją uznać za fakt i albo w niej wziąć udział w sensie regulatora sił społecznych, albo wystąpić z mocnym przeciw niej programem, tkwili w bierności i negacji. Dzięki tej defenzywnej roli po gruzach ustroju stanowego doszedł do władzy kapitalizm. Wraz z nim zapanowała najohydniejsza w dziejach władza pieniądza.

Socjalizm był buntem syna przeciw ojcu. Mimo materialistycznych motywów, jako protest był on słuszny i zrozumiały. W zastępstwie biernych w dużej części katolików XIX w. stał się głosem oburzenia na pohańbienie godności ludzkiej. Nic dziwnego, że zbłąkane, pozbawione moralnej i materialnej opieki świata chrześcijańskiego masy robotnicze znalazły w nim opiekę i ratunek. Ale jego negatywna ocena kapitalizmu nie mogła na dłuższą metę wystarczyć ani dążącym do organicznej jedności i potęgi, narodom, tak, jak materialistyczna recepta życia nie mogła zaspokoić dusz ludzkich, szukających pozadoczesnej Prawdy.

Leon XIII, w tym stanie rzeczy, pierwszy pojął tragedię ówczesnego świata. Jego Encyklika „Rerum Novarum" stanowiła okres defenzywy katolików w walce o społeczną strukturę Europy. Jednak, na pełną ofenzywę Kościoła trzeba było czekać pół wieku, aż do ostatecznego bankructwa szowinizmu.

Niemal równocześnie z odrodzeniem katolicyzmu, zjawił się szowinizm po drugiej stronie barykady ideologicznej, rozrastając się do potwornych rozmiarów, i zwalcza w imię różnych haseł wszystkie konkurencyjne doktryny. Tak było do ostatniego konfliktu.

Druga wojna światowa zmiotła wprawdzie dyktatorów szowinistycznych, ale zdruzgotała również siłę kapitalizmu na kontynencie.

Druga wojna światowa była wojną ideologiczną, w czym niemałą rolę odegrał paradoks. Chociaż bowiem krwiożerczy mistycyzm rasy germańskiej zagroził wolności narodów świata, jest w pewnym sensie rzeczą przypadku, że mimo rozbieżnych między nimi poglądów, wyłoniła się wspólna i zwarta w tych latach miara wolności. Dziś, z chwilą zaniku, grożącego niebezpieczeństwa, miara ta znów przeistacza się w odrębną i swoistą interpretację materialnych sił. Obóz wolności wygrał wskutek sojuszu ideologii kapitalistycznej anglosasów z doktryną marksistowskiej Rosji. Anglia wyszła z kataklizmu zwycięska, lecz ustrój kapitalistyczny załamuje się w jej psychice społecznej. Kapitalizm U.S.A. pozostał natomiast siłą żywą i posiada ambicję ingerencji w Europie. Wyniki wyborów na kontynencie mówią nam wyraźnie o zmaganiach ideologicznych. Kapitalizm został przez wiele narodów odrzucony. Masy w wypadku trzeciej wojny światowej nie będą płaciły krwią za naftę, ani w okresie ją poprzedzającym, spokojnie patrzyły na palenie milionów ton zboża, gdy przestanie ono być dla eksportu opłacalne. Nie będzie już nędzy mas przy olśniewającym bogactwie jednostek. W tym sensie i tylko w tym pewne jest, że idziemy na lewo.

Przeobrażenia jakie idą przez skrwawioną i politycznie skłóconą Europę mają obecnie charakter walki o zasady. Wyrastają ponad wolną grę sił gospodarczych i interesów klasowych. Dwie wojny światowe rozegrały się przede wszystkim na jej terytoriach. To też proces przemian na kontynencie następuje szybciej, niż gdzie indziej. Stąd pewność, że tu zrodzą się prądy i ruchy nowej epoki.

Miliony ofiar, jakie za sobą oba kataklizmy pociągnęły, postawiły setki milionów tych, co przetrwali, twarzą w twarz wobec śmierci. Żywioły mordu i poświęcenia przywróciły człowiekowi Boga, lub Go od niego odrzuciły. W blaskach płonących kościołów, w heroizmie ginących kapłanów, w ostatnich tchnieniach wzywających Boga dusz ludzkich, w nawróceniach ateistów i cudach przeznaczeń, samookreślał człowiek europejski siebie w wszechświecie, wierze zawdzięczał spokój i moc swoją. Ale było też niemało takich, którzy widzieli tylko samą siłę zniszczenia i z męczeństwa niewinnych dzieci, z cierpienia, z początkowych zwycięstw bezprawia, czy rzekomej „ciszy" Watykanu wynieśli tylko bunt przeciw Bogu, tylko poczucie zła społecznego, i projekty naprawy świata w oparciu o wyłącznie materialistyczne środki. Z obu tych poglądów na świat wyłaniają się nowe siły społeczne i polityczne. Wiara i ateizm — oto dwa źródła twórcze czasów, które idą.

Redakciom, stronnictwom i obozom ideowym wszystkich narodów nie wystarczają już teraz „ciepłe" sympatie i miesięczne składki. Żądają heroizmu pracy i poświęceń. Wymagają zgodności życia publicznego i prywatnego z wyznawanymi zasadami. Ewangelia stanie się ponownie programem stronnictw i sztandarem bojowym spirytualizmu.

Jerzy Mikke

O Marksie i marksistach

Felieton marksistowski

„Wcale nie patrzymy na teorię Marksa, jak na coś skończonego i nietykalnego; jesteśmy na odwrót przekonani, że stworzyła ona jedynie fundament nauki, którą socjaliści powinni rozwijać we wszystkich kierunkach, jeśli nie chcą pozostać w tyle za życiem" (Lenin, „Nasz Program" 1899). „Istnieje marksizm dogmatyczny i marksizm twórczy. Ja stoję na gruncie tego ostatniego". (Stalin, VI Zjazd R.S.D.P.R.).

Nic nie rozumiem. W młodości, kiedy przez pół roku byłem marksistą, uważałem wyrażone w motto myśli za coś tak prostego i oczywistego, że ich kwestionowanie uznałbym za nieuczciwość. Ale dziś — w stulecie „Manifestu Komunistycznego" — przeczytawszy całą marksistowską prasę jubileuszową widzę, jak bardzo błądziłem. Uważałem bowiem naiwnie, że wraz ze zmianą podłoża gospodarczo - społecznego zmieniają się i ideologie. A tu — stop! Czytam w „Nowych Drogach", że „dziś genialne myśli Manifestu są równie ostrym, a może nawet ostrzejszym orężem, niż sto lat temu".

Hm, przez te sto lat świat bardzo się zmienił. A „Manifest" nie. Przyznaję nawet dziś, kiedy marksistą nie jestem, że wiele przewidywań jego autorów sprawdziło się. Ale, na miłość boską, nawet inż. Ossowiecki nie przepowiedziałby z całą ścisłością, co będzie za lat sto. Przecież nierównie ważniejsze wydają się te tezy Marksa i Engelsa, które się w późniejszych czasach nie sprawdzają i które trzeba uzupełnić pod groźbą zabrnięcia na manowce. A co o nich pisze prasa jubileuszowa?

Otóż to. Już po kilku artykułach gotów byłem uwierzyć, że „Manifest" to deklaracja ideowa współczesnego komunizmu, a nie dokument historyczny, taki jak Magna Charta Libertatum albo Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela. Wciąż jeszcze u polskich marksistów pokutuje uporczywy, wygodnicki kompleks brązowienia. Ci sami pogromcy „metafizyki", którzy ujmują wszystko dialektycznie, w nieustannym ruchu, zmianach i rozwoju, z niepojętą niekonsekwencją wznoszą „Manifestowi" brązowy cokół, na którym trwać ma wiecznie — statyczny i ponadhistoryczny. Można by z tego wysnuć paradoksalny wniosek, że dialektyka obowiązuje tylko w okresie przedmarksowskim, a nie dotyczy rozwoju socjalizmu. Darmo szukałem w powodzi artykułów jubileuszowych jakiejkolwiek poważniejszej konfrontacji „Manifestu" z czasami dzisiejszymi, jakiejś próby wytyczenia ewolucji socjalizmu od 1848 r. Wygląda, jakby marksiści drżeli przed każdym dotknięciem misternego gmachu swojej doktryny. Tfu, za moich czasów tego nie było... A przecież każdy wie dzisiaj, że u podstaw powodzeń Lenina — twórcy pierwszego na świecie socjalistycznego państwa — leży pożyteczne odchylenie od litery marksizmu, gdzie tego wymagała rzeczywistość. Tak powstała koncepcja sojuszu robotniczo - chłopskiego, władzy rad, drobnokapitalistycznego N.E.P.-u. Przecież każdy wie, że leninizm to właśnie twórcze rozwinięcie i zastosowanie marksizmu do warunków rosyjskich XX-go wieku.

Jeżeli ideologie są nadbudową stosunków gospodarczo - społecznych, to zmianie tych stosunków odpowiadać powinna w tym samym stopniu zmiana ideologii. Świat roku 1848 i świat obecny, wiek pary i wiek samolotu i bomby atomowej mają masę rysów odmiennych. W ciągu stu lat następują przemiany wprost fantastyczne, rozwój techniki przeobraża wszystkie dziedziny życia. Robotnicy otrzymują prawa polityczne i ustawodawstwo socjalne. Stopa życiowa proletariatu niesłychanie się podnosi: od młodości Marksa do początku obecnego stulecia produkcja węgla wzrasta tysiąc razy, produkcja stali, metali kolorowych i tkanin sto razy. Nie ulega wątpliwości, że Marks i Engels widzieli tylko sam początek rewolucji przemysłowej, jej pierwsze kroki. W nowopowstałych fabrykach królowała niepodzielnie maszyna parowa, sugerująca aż do wynalazku silnika elektrycznego przyszłą koncentrację przemysłu. Twórca „Kapitału" umarł, nie wiedząc co to radio, telefon i auto. Rewelacyjna nowość, zwana lokomotywą, ruszyła po raz pierwszy w Anglii, gdy Marks miał lat siedem, a większość swoich podróży z całą pewnością odbył poczciwym, staroświeckim dyliżansem. Statki z Europy do Indii nawet w czasach narodzin „Kapitału" ciągle jeszcze z mozołem opływały ląd afrykański, jak za czasów Bartolomeo Diaza i Vasco de Gamy.

Rzekł gdzieś Sandauer o ogólnie uznanym braku talentu filozoficznego u Polaków. Może to dlatego. Ale niemniej według samego Lenina ostateczne wnioski formułuje się inaczej w Anglii niż we Francji, we Francji inaczej niż w Niemczech, w Niemczech inaczej niż w Rosji" („Nasz program", 1899).

Już w 24 lata po wyjściu „Manifestu Komunistycznego" Marks i Engels w przedmowie do wydania niemieckiego dostrzegają nieaktualność szeregu tez i konieczność ich zmiany. Piszą: „Jednakże Manifest jest dokumentem historycznym i nie uważamy się więcej za uprawnionych do wnoszenia zmian".

Roma locuta, causa finita. Niechże teraz kto powie o genialnej aktualności „Manifestu". Chociaż... Nasi rodzimi marksiści będą mieli niewątpliwie na swoje usprawiedliwienie tysiąc racji. Ciekaw tylko jestem, co by na to powiedział Marks, cudem wskrzeszony w 1948 r. i zmuszony do przeczytania jubileuszowej prasy. Skrzywiłby się zapewne na argumentację swoich adeptów, zadumał i powtórzył swe historyczne słowa: „Wiem tylko jedno: że nie jestem marksistą".

Krzysztof R. Gawor

pisma (zesz. 3—4 z ub. r.) odsyłam czytelników poszukujących merytorycznych wiadomości o błędach formalizmu.

Ale „metoda formalna" przez potępienie tych błędów nie została bynajmniej zlikwidowana, ani odrzucona. Bez niej nie byłoby możliwe literaturoznawstwo na tym poziomie, jaki reprezentuje choćby kapitalna, można rzec. „monumentalna" księga tegoż Żirmunskiego „Goethe w Rosji". Jest to prawie kompletna historia literatury rosyjskiej od schyłku XVIII w. aż po dni nasze, przejrzana ze stanowiska badań nad echami w niej twórczości wielkiego klasyka niemieckiego, echami wszelkiego rodzaju, w formie związków biograficznych, przekładów, naśladownictw, oddźwięków w myśli filozoficznej, w publicystyce, w ogóle w całem życiu umysłowem Rosji. Jasnem jest, w jak wielkim stopniu praca ta wchodzi w obręb socjologii literackiej, a w tej ostatniej autor zajmuje bezwzględnie marksistowskie stanowisko. Ale cała strona selekcji dzieł artystycznie wartościowych, a więc koniecznie szerzej omawianych, ocena wartości, a zwłaszcza charakterystyka różnorodnego, zależnie od epoki i usposobienia twórczego tłumaczów, stylu przekładów — byłaby niemożliwa do wykonania bez tego wszechstronnego opanowania metody formalnej, której dzieła Żirmunskiego są wzorem.

Słyszałem niedawno z ust bardzo autorytatywnych następujące oświadczenie: „Materializm dialektyczny nie jest martwą, zamkniętą i uznającą się za zupełnie zakończoną we wszystkich szczegółach strukturą filozoficzną. Jest on w stanie ciągłego stawania się, dynamiczny i nieustannie twórczy, w dążeniu do uniwersalizmu, wchłania chciwie wywody poszczególnych nauk, uzgadniając je w ramach wielkiego systemu, zgodnie ze swą myślą przewodnią". Przykład zacytowanej książki ilustruje to oświadczenie, ukazując zarazem rolę metody formalnej w zakresie głębiej i szerzej pojętego marksizmu. Nie zawsze będzie się i u nas grzęzło w błędach wulgarnego socjologizmu, ograniczającego swą działalność do powierzchownej, choć w jego mniemaniu głębokiej, interpretacji wyselekcjonowanych bez jego udziału fragmentów naszej spuścizny literackiej. Literaturoznawstwo nasze, tyle mające do odrobienia we wszystkich swych, wspierających się wzajem i splecionych odnogami, dyscyplinach (krytyka, teoria literatury, historia literatury) wkroczy prędzej czy później na drogi prawidłowej rozbudowy, i wówczas obok innych metod, znajdzie szerokie i wszechstronne zastosowanie udoskonalona metoda formalna. List polonistów poznańskich ustala dokładnie jej miejsce w systematyce badań literackich. Ustaną wówczas spory, przypominające niekiedy dyskusje na temat: ile jest dwa razy dwa? między stroną zapewniającą, że wynosi to coś koło pięciu, a ich przeciwnikami dowodzącymi, że istotną w tem zagadnieniu sprawą jest pomnożenie dwóch chlebów na dwa tysiące zgłodniałych.

Na zakończenie nie mogę sobie odmówić złośliwej nieco satysfakcji przytoczenia pewnego ułamku wspomnień. Było to przed niespełna 15 laty. Grono młodych, ale już wybitnych polonistów prosiło mnie o zreferowanie wspomnień osobistych o prapoczątkach formalizmu w Rosji, których to narodzin byłem, że tak powiem, naocznym świadkiem. Jako najwybitniejszego z tej pierwszej ekipy formalizmu wymieniłem Żirmunskiego, czem wywołałem gwałtowne oburzenie audytorium, entuzjastycznie usposobionego dla Szkłowskiego i jego towarzyszy, w ich formie z okolic 1925 r. W dyskusji nie tylko Żirmunskij został odsądzony od tytułu formalisty, ale i moja krucha aureola „formalisty" znikła w jednej chwili. Moi oponenci mieli rację ze stanowiska ujmowania w węższy, specjalny sposób, podkreślając równocześnie, że formalizm to cała filozofia, że jest związany z pewnemi kierunkami w łonie samej poezji (stanowiąc podstawę ich poetyki normatywnej), mianowicie z różnemi odmianami futuryzmu rosyjskiego. Tu, nawiasem mówiąc, nie mieli słuszności; formalizm zrodził się niewątpliwie w atmosferze określonego stosunku do poezji, mianowicie w atmosferze panowania hasła „sztuka dla sztuki" i w tej samej atmosferze, której wielkim sprawcą był symbolizm, wszczęły się ruchy, przeciwstawiające się symbolizmowi: „akmeizm" (drobny, w gruncie rzeczy, przewrót pałacowy, przejście niektórych uczniów symbolizmu na inny program), ale także, o wiele bardziej bezwzględnie symbolizmowi wrogi, jaskrawy i niszczący bunt futurystyczny. Lecz właśnie w atmosferze symbolizmu rozpoczął się nacisk na „formalistyczne" traktowanie sztuki, a nawet same badania formalne, kiedy jeszcze o futuryzmie nikomu się nie śniło, jest faktem niezaprzeczonym; na dowód dość wymienić dwa nazwiska wielkich inicjatorów badań formalnych z pośród najznakomitszych poetów symbolizmu: Briusow, a przede wszystkiem A. Biełyj, który swemi zainteresowaniami określił na szereg lat najbardziej ożywioną dziedzinę badań nad wierszem rosyjskim.

Wracając do owego zebrania, wszystkich moich oponentów o ile żyją (co bynajmniej nie wszystkim się poszczęściło) odnajduję w szeregach wrogich „formalizmowi". Ale przejście przez jego szkołę, zostawiło na niektórych z nich głębokie i dobroczynne ślady: dość przeczytać którykolwiek ze świetnych artykułów Ewy Korzeniewskiej, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że ten właśnie porządek stosowania metod jest wskazany: **najpierw formalna, potem socjologiczna**, w jej najróżnorodniejszych aspektach: inaczej grozi, w dywagacjach, rzekomo socjologicznych, jałowość dowolności i płytkości. Pod tym względem poloniści uniwersytetu poznańskiego, którzy mogą się szczycić tradycją przedwojennych jeszcze zasług wzbogacania przekładania ubożuchnej naszej poetyki naukowej, mają za sobą niezaprzeczoną słuszność.

K. W Zawodziński

Andrzej Chciuk

DROHOBYCKIE CZASY

Tytuł może jest zły. Ale nie chciał bym tego skromnego szkicu, tych szczenięco - gimnazjalnych wspominków, na tle których od czasu do czasu jawić się będzie sylwetka ukochanego profesora, zaopatrywać pretensjonalnym tytułem: „Wspomnienia o Brunonie Schulzu".

Wieść o rozstrzelaniu Brunona Schulza przez Niemców dotarła do mnie późno i była swego rodzaju wstrząsem. Czasem trzeba, by coś przestało istnieć, ażeby móc dowiedzieć się, jak coś, w tym wypadku jak kogoś się ceniło ,lubiło czy kochało. O umar.ych zazwyczaj mówi się już tylko dobrze jednak nie dlatego nie mogę się oprzeć chęci i wewnętrznej potrzebie oddania Brunonowi Schulzowi ostatniego ukłonu i jasnego wspomnienia tym oto skromnym szkicem.

Gdy jako smarkacz przyszedłem do Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły w Drohobyczu, któryś ze starszych repetentów uświadomił mnie:

— Trochę wiariat, ale byczy chłop. Swój Józku...

Tym wariatem, ale byczym chłopem był właśnie prof. Bruno Schulz. W „sali rysunkowej" uczył czterdziestu smarkaczy jak malarz widzi świat, meble i linie, i jak trzyma ołówek. Niski o czarnych płonących oczach, zawsze jakby trochę niedzisiejszych, z poburzoną ciągle czupryną, też czarną i niespokojną, z wychodzącymi zawsze poza koniec rękawa białymi mankietami koszuli, najczęściej w popielatym ubraniu, nerwowy w każdym ruchu, a spokojny w każdym słowie — to profesor Bruno Schulz. Chód — trochę platfusowaty. Kroki nieduże i nerwowe. Często zdarzało mu się „przechodzić" znaczną część godziny, nie zdając sprawy sobie zupełnie z faktu, że czterdziestu urwisów siedzi nad pulpitami — z reguły jednak zamyślenie profesora udzielało się nam. Gdy chodził patrząc bezustannie w brudne terem zapuszczone par kiety podłogi, nikt nie śmiał mu przeszkodzić, choć na „rysunkach". czy „robotach" zawsze było najgwarniej, najlepiej „odrzynało" się wtedy zadania i jakoś najlepiej smakowały słodycze i kanapki kupowane u pani Liberowej, żony tercjana, co trzymała sklepik na dole w kąciku obok drzwi wychodzących na szkolny dziedziniec.

N. b. u cioci Liberowej Bruno Schulz często kupował słodycze. a jeszcze częściej obdarowywał nimi małych szatanów, o ile jego karykatury rysowane ukradkiem przez nich na tablicy, były udane. Mimo, że nieprawdopodobnie nerwowy i neurastenik wprost niesamowity. profesor Schulz nie obrażał się nigdy na kawały uczniowskie i często z nich serdecznie się śmiał — a śmiech i uśmiech na jego twarzy na ogół były jakieś dyskretne i anemiczne.

Na czym miała polegać opinia repetenta o profesorze, że „trochę wariat, ale byczy" — miałem wkrótce się przekonać. Było to zdaje się na początku roku szkolnego, gdy jeszcze murarze nie skończyli odnawiania drugiego skrzydła budynku gimnazjalnego, bo wakacje tego roku były deszczowe.

Profesor stał przed katedrą i coś nam opalonym i naładowanym radością wakacyj smarkaczom tłumaczył o "perspektywie. Nagle w środku zdania przerwał — a wzrok jego pobiegł przez okno na przeciwległe skrzydło, gdzie na rusztowaniu na wysokości drugiego piętra robotnik malował na kremowo mury naszej „budy". Robotnk z kimś rozmawiał, bo widać było jak otwiera usta i gestykuluje. kiwając się dość ryzykownie na deskach rusztowania. Za spojrzeniem Schulza wszyscy pobiegliśmy wzrokiem. nie bardzo rozumiejąc, co profesorowi może przeszkadzać w wykładzie. Że tam ktoś chodzi sobie po rusztowaniu — to najwyżej nas to może interesować. ale profesora?

Konrad Bloch, niewiadomo czemu nazywany Jankiem, znany arogant zaczął już sykać — ale wkrótce zamilkł. Bruno Schulz jak urzeczony patrzył na robotnika, strzepując nerwowo kredę z palców u prawej ręki. W oczach miał niemal obłędny strach. Sytuacja zaczynała być nieznośna, bo jak tu nam zielonogłowym kawalerom było wytrzymać bez ruchu do końca godziny? Jednak w wyrazie twarzy profesora było coś takiego, co kazało nam siedzieć cicho jak makiem siał. Od czasu do czasu lewą dłonią Schulz ocierał niewiadomo czemu nagle spocone czoło, wisząc wzrokiem na ruchach murarza. Ręce Schulza drżały a głęboko osadzone oczy płonęły. Dopiero później miałem zrozumieć jego chorobliwą wrażliwość. Bał się o robotnika. że ten może spaść. Wzrokiem jakby modlił się. by ten uważał. Te brakujące do końca godziny dwadzieścia minut były dla Schulza męką nie do zniesienia. Gdy wreszcie w załomach korytarza zadźwięczał dzwonek, brzmiał jakoś mniej radośnie niż zawsze Był dysonansem. Schulz patrzył na klasę nieprzytomnie, zmęczony, coś chciał powiedzieć. ale tylko ręką wykonał gest jakichś przeprosin i ciężko usiadł za katedrą, a my. czterdziestu żywych jak rtęć chłopców, wyszliśmy na palcach z sali i dopiero za pracownią fizyczną, odważyliśmy się mówić i krzyczeć.

Janek Bloch, ten co to później Jampollerowi nasyłał wszystkie wozy ze skrzynkami syfonów i lemoniad, by echem w pustej ulicy biły w otwarte okna klasy gdy Bloch miał być pytany — i kazały nerwowemu belfrowi ze strasznym grymasem w twarzy odczekiwać, aż wozy przejadą — był, jak się rzekło, arogantem. Zdaje się, że za prawo do tego poczytywał sobie bogactwo ojca, któż bowiem. w Zagłębiu Naftowym nie pił wody sodowej i lemoniad Blocha?

Pewnego razu, Bloch najbezczelniej jadł na rysunkach. Gdy mu Schulz zwrócił uwagę, kiwnął głową, ale jeść nie przestał. Za chwilę Schulz znów zwrócił mu uwagę, zaznaczając, że Bloch nie oddał mu rysunków do klasyfikacji, a konferencja się zbliża — na co odpowiedzią było tylko to, że uczeń wstał, usiadł i z pulpitu wyciągnął nową bułkę z szynką. Wtedy profesor nie wytrzymał — i jak zawsze nerwowy i pobudliwy — złapał olbrzymi dwumetrowy lineał i szybko z obłędem w oczach biegł do Blocha, by go uderzyć. Jednak w ostatniej chwili powstrzymał się i przerażony — w ciszy jaka nagle zawisła — wypuścił z rąk linię. Zrozumiałem wtedy, że Schulz widział już oczyma swej wrażliwości Blocha pobitego przezeń linią i płaczącego. bo nagle w kieszeni poszperał ręką, jakby szukając cukierków od Liberowej, a nie znajdując ich, dziwnie ciepłym głosem zaczął Blocha uspakajać, głaszcząc go po włosach.

— Nie płacz Bloch, przepraszam cię, widzisz, ale ty nie doprowadzaj do tego...

Dopiero wtedy Bloch, zaczął ryczeć jak bóbr. grając oczywiście komedię, epilogiem której było zapewnienie go przez bezradnie jak dziecko stojącego profesora, że na konferencji będzie go bronił. Kawały takie lub inne często robi się w stosunku do belfrów i moralność uczniowska uświęca je —wtedy jednak w całej klasie czuło się dezaprobatę. Wyraz jej dał grubas Kuzi. odpychając na bok Blocha. by się wydostać z ławki. mówiąc szorstko:

— Won. ty...

A przecież Kuzi i Bloch lubili się bardzo, bo razem „chodzili" z Irką i Leną.

Ciekawe było, że w potocznej mowie Bruno Schulz nie wysławiał się dobrze. Często się zacinał, albo mówił polszczyzną—nawet dla uczniów — mało poprawną. Widać było po nim. że myśli o czymś innym. nie o antycznych modelach z gipsu, czy strugaczach (bo taką nazwę dla mebli lansowały programy szkolne). Czasem jednak następowało coś czarodziejskiego. Ten mały profesor. co to każdemu z drogi ustępował. z którego i inni belfrowie pokpiwali sobie trochę. opowiadał nam. starym już jakby nie było koniom z czwartej klasy przedziwne bajki. Rósł wtedy jakby i oczami hypnotyzował całą klasę

Dziś. gdy myślę o tym. żałuję, iż nikt tych cudnych schulzowskich bajek nie spisywał Bajki te przepiękne i jedyne w swoim rodzaju. mówił wtedy Schulz wykwintną polszczyzną, ze swadą o jaką nikt tego neurastenika nigdy nie podejrzewał, ilustrując swe bajki kilku pociągnięciami kredy na tablicy. Bajki te lubiliśmy wszyscy i nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego jak czas przy nich leciał. Dzwonek zawsze wtedy ranił i ściągał zbiorową iskrę wzruszenia na ziemię po piorunochronie rzeczywistości szkolnej. Bajki te, w których ołówek, niepozorny strugacz czy nawet kaflowy piec miały swe historie i żyły na sposób bliski nam i tak bardzo ludzki, miały za tło zawsze smutny uśmiech chorej dziewczynki, która tęskni do słońca.

U Schulza jedną z najważniejszych i milszych cech, była skromność, taka prawdziwa, nie tarcza dla różnych ambicji i kompleksów. Dobroć i uśmiech — jakieś takie chrześcijańskie, mimo że był Żydem z pochodzenia, a ze swym katolicyzmem, podobno głęboko odczutym, wcale się nie afiszował. Pamiętam raz, na przerwie, po jakiejś bajce mówił o Chrystusie, że chciałby kiedyś o nim książkę napisać. O pewnym chorym dziecku i o Chrystusie, bo to go najwięcej pasjonuje.

Na nasze grzecznie zdziwione spojrzenia — Żyd o Chrystusie? uśmiechnął się spokojnie i zamyśleniem oczu dał do zrozumienia, że i tak już powiedział dużo, może za dużo...

Moja pani, pani wie? On jest masochistą!...

— Co pani mówi! Ma-so-chi-stą!

Takie rozmówki w kołtuńskim Drohobyczu prowadziły bogobojne plotkary — tonem jak w kawale, gdy jedna mamusia mówi drugiej: wie pani, że mój Jasio ma kajak! — a ta odpowiada, „o Boże, i gdzież mu się to świństwo zrobiło... Potem były wertowania encyklopedii z wypiekami na twarzy..

— Wie pani. Schulz się żeni! I to z ka-to-licz-ką! Moja pani widziane to? Biednaż ona biedna!

By się zbytnio nie zdziwić trzeba znać atmosferę parafiańskiego i prowincjonalnego Drohobycza, który mimo swych 35 tysięcy mieszkańców nie mógł się zdobyć na lepszego „poetę" niż Mariańciu Krokier) też nasz profesor historyk. specjalista od rewii morskich), który w jakimś „Głosie Zagłebia" napisał wiersz na cześć wojska powracającego z manewrów, zaczynający się tak:

„Witajcie rycerskie zastępy
Które w historii macie swoje ustępy"!

Wtedy brzdąc jeszcze spróbowałem fraszki i pod ten dwuwiersz wypociłem inny, dalszy ciąg:

„A ja się pytam panie profesorze
Gdzie pan ma ustęp bo tam wiersz trza włożyć!"

Tę pierwszą fraszkę pokazałem Schulzowi Uśmiał się serdecznie. Było to już wtedy. gdy ogłosił swoje „Sklepy cynamonowe". Na poczciwy w swej śmieszności Drohobycz był to grom z jasnego nieba" Kto? Ten niepokaźny Schulz, I jak? Sklepy cynamonowe? Mojaż pani. czy on nie tego?..." (i kółka na czole)

Karol W. Zawodziński

Spory teoretyczno-literackie

Spory, które co pewien czas pasjonują świat literacki Polski, zasługują najczęściej na stare określenie „de lana caprina", toczące się zwykle wokół jakichś modnych sloganów, pojmowanych najsprzeczniej, a przez większość uczestników (niekiedy nie różniących się istotnym stanowiskiem) — najniewłaściwiej; toteż nie doprowadzają one do żadnych wyników i wygasają równie szybko i nieoczekiwanie, jak się wszczęły. Taki np. los spotkał, jak to stwierdza mi Aleksander Wat w swych nadzwyczaj interesujących, bynajmniej nie „zbyt długich" w stosunku do ilości i wagi poruszonych zagadnień „rozważaniach de omnibus rebus et quibusdam aliis" (jak je sam autor określa — „Kuźnica" N-ry 6 i 7 z b. r.) — spór o realizm, który przydawał tyle rumieńców naszemu regenerującemu się po wojnie życiu literackiemu. W rozważaniach „Antyzoila" znajdujemy tyle niezależnych, oryginalnych i nieoczekiwanych, a jednak przekonywających, spostrzeżeń w kwestii realizmu, a szczególnie od strony jego społecznego oddziaływania, a także znaczenia w nim społecznej postawy autora (np. że „wielka powieść zwłaszcza realistyczna... czerpała swoją siłę i swoją prawdziwość z krytycznego stosunku do opisywanej rzeczywistości", co można przyjąć za dogmat, pod warunkiem jednak pewnych zastrzeżeń i ograniczeń), iż niektóre z tych dywagacyj posiadają nieprzemijające znaczenie w krytyce polskiej i w wiedzy o literaturze w ogóle, jako płodne uogólnienia historyczno-literackie.

Z niektóremi innemi uwagami A. Wata zgodzić się trudniej: np. temu kto się wydrze z pod wpływu panującej dziś mody, przysięgania imieniem Balzaca, sąd Bielińskiego o nim, a nawet stawianie go przez znakomitego krytyka rosyjskiego poniżej George Sand, nie wyda się pozbawionym ziarnka tej słuszności, jaką pono mieli w sądach o pisarzu jego współcześni. W czem zaś stanowczo należałoby świetnemu pisarzowi i obserwatorowi życia literackiego jeszcze uściślić swe wyobrażenia — to w sprawie „formalizmu". W swych gorączkowo rzucanych na papier uwagach, wypowiadając rezultaty głębokich i dojrzałych refleksji w pewnych bliżej obchodzących go sprawach, w innych A. Wat posługiwał się obiegowemi pojęciami tak, jak są używane w prasie literackiej, nie starając się z braku czasu, ani ich sprecyzować, ani zastanowić się nad ich przydatnością w kontekście. A wiemy, że nazywano u nas „formalistami" krytyków i literaturoznawców, skądinąd wartościowych, ale którzy w dziedzinie zagadnień formy dzieła literackiego, w ogóle w badaniach nad jego swoistością, nic nie mieli do powiedzenia; przeciwnie nawet, przy praktycznem zetknięciu się z tymi kwestiami, np. starając się w jakiś sposób uchwycić właściwości stylu danego pisarza, choćby metodą parodii (w szerokim sensie), wykazywali zdumiewającą bezradność, świadczącą już nie tylko o ich ignorancji na tym odcinku, ale i o niedostatku intuicji krytycznej. Te potoczne pojęcia o formalizmie zaciężyły na refleksjach Wata, a jak te wyobrażenia są trwałe, widać z aktualnych obecnie sporów.

Dyskusje te, dotyczące teorii literatury dalekiem tylko echem docierają do popularnej prasy literacko-społecznej, o wiele dalszem, niż np. spór o realizm, roznamiętniający w swoim czasie „literatów-twórców" i szersze koła czytelników. Wśród nich nikt nie poczuwa się do obowiązku skupienia uwagi na tym przedmiocie, zwalając go na barki naukowców-polonistów. Zato wśród tych ostatnich są dziś bardzo aktualne, jak dowiódł jesienny Ogólnopolski Zjazd Kół Polonistycznych PMA w Krakowie, a także niedawna konferencja bardziej autorytatywnych specjalistów, (o której jednak nie wiem, czy mam prawo mówić publicznie). Na wspomnianym zaś przed chwilą zjeździe nie byłem, znam jego przebieg głównie z inteligentnego sprawozdania Józefa Czerniego („Nowiny Lit.". nr. 39 z ub. r.) oraz z umieszczonego tamże poniżej, doskonale napisanego „Listu Koła Polonistów Un. Poznańskiego". Stanowisku w nim zajętemu można tylko przyklasnąć, jak również odrzuceniu w tej enuncjacji tytułu „formalistów" w węższym a tem bardziej w potocznie polskim sensie słowa. Ale wzięte w sensie szerszym, określenie to nie miałoby w sobie nic hańbiącego, a nawet niestosownego w odniesieniu do literaturoznawcy, który rozumiejąc równoprawność innych metod, innych sposobów podejścia do dzieła literackiego, narazie, a może przez całe życie, jako specjalista w tej trudnej, wymagającej szczególnej dokładności w operowaniu precyzyjną terminologią, dziedzinie badań, jej się specjalnie oddaje, uznając przytem prymat metodyczny, pierwszeństwo w zastosowaniu tych właśnie badań przed wszystkiemi innemi w „umiejętnem" zbliżeniu się do dzieła literackiego. Bez nich nie da się wydzielić „utworu literackiego" (lub specyficznych „literackich" właściwości utworu, poza tym stanowiącego dzieło naukowe czy publicystyczne) z pośród całości piśmiennictwa. One to tylko, i to bodaj najważniejsza z nich korzyść, dadzą narzędzie precyzyjnego ujęcia sądu przez krytyka, którego praca wśród nieprzejrzanej tłuszczy utworów literackich wybiera dzieła najwartościowsze, reprezentacyjne dla swych rodzajów, a na ich analizie z kolei opierać się będzie teoria literatury, budując swe uogólnienia. Takim „formalistą" jest w znacznej części swej działalności znakomity literaturoznawca rosyjski, Wiktor Żirmunskij, choć niemniej jest on integralnym marksistą, wielokrotnie przy nadarzającej się sposobności deklarującym swe stanowisko i nawiązującym, gdy jest możliwość, wyniki swych badań do zarysowanego przez marksizm ogólnego schematu dziejów społecznych; a że nie jest to tylko koniunkturalne stanowisko lat ostatnich — jako jego kolega z ławy uniwersyteckiej mogę dać świadectwo stałości wyznawanych od wczesnej młodości zasad. Tak więc te dwa określenia nie mają w sobie nic sprzecznego: są one ujęciami zagadnień literackich na różnych płaszczyznach, nigdy nie powinny się zetknąć.

To też, przy panującym w radzieckiej wiedzy o literaturze socjologizmie, rozkwitają tamże badania teoretyczno-literackie, badania nad poetyką. Bez analizy dzieła pod względem formalnym nie obejdzie się tam ani jedno ogólniejsze ujęcie pisarza, choćby we wstępie do popularnego wyboru twórczości: mam właśnie pod ręką dwa takie akurat najświeższe, Dierżawina i Radiszczewa, powtarzam Radiszczewa, względem którego, zdawałoby się, socjologiczny punkt widzenia najzupełniej usprawiedliwiałby włączenie go między wielkie postacie literatury rosyjskiej XVIII wieku.

Oba wybory dokonane przez wielkiego rewaloryzatora tego wieku literatury swego kraju, G. A. Gukowskiego, kierownika specjalnego, poświęconego mu, instytutu badawczego. I właśnie, również w tej chwili, przeczytałem notatkę jego pióra, jego, żarliwie odnoszącego zasługi zapomnianych prekursorów rewolucji społecznej w owych czasach, notatkę o konieczności estetycznego wartościowania twórczości literata, zanim go się wprowadzi na parnas. W pomnikowej jego „Literaturze rosyjskiej XVIII wieku" u dołu str. 219, w związku z wymienionem nazwiskiem jakiegoś wyrobnika literackiego, pisze on: „Kilka lat temu, gdy jeszcze nie były obalone teorie wulgarnych socjologów, w literaturoznawstwie panowała moda wysuwania i niemal nie apotezowania niedołężnych i ordynarnych wyrobów kramarzy literackich XVIII w., drobny porost pisaków lokajskiego „kierunku", którzy zatruwali świadomość demokratycznego czytelnika czytadłem („cztiwom" = materiałem do czytania), nie tylko bezideowem, lecz i oportunistycznem, podchlebiającem się interesom wyzyskiwaczy ludu... Wysuwanie ich było motywowane tem, że to nie szlachta lecz ludzie demokratyczni. Nie trzeba dowodzić, że nasza socjalistyczna kultura przyjmuje dziedzictwo takich szlachciców jak Radiszczew i Puszkin, a odrzuca dziedzictwo Komarowów. To samo prawie tyczy się niektórych jarmarcznych wydań obrazkowych, wygotowywanych dla ludu, lecz bynajmniej nie odbijających ludowego poglądu na świat".

Nic więc dziwnego, że tenże Gukowskij nie tylko przyczynił się w wysokim stopniu do odnowienia kultu Dierżawina, ujawniając w nim artystę, którego rdzennie reakcyjnej postawy społecznej bynajmniej nie ukrywa; również, tylko w oparciu o pracę swoich współcześników — formalistów i swoje własne, w zakresie poetyki historycznej, potrafił ukazać w Radiszczewie znakomitego poetę, o wielkiej roli w dziejach rozwoju poezji rosyjskiej, nie tylko prekursora rewolucji społecznej i męczennika w walce za wolność ludu, za jakiego wyłącznie był przedtem przez długie lata uważany. Są to sprawy zdecydowanie oddzielone, i nie byłoby zbrodnią w tej atmosferze odkrycie lub przypomnienie, że jakiś bardzo ulubiony w tej chwili pisarz (na przykład Leskow) był wrogiem ruchów rewolucyjnych, lub odwrotnie, że jakiś potępiony i zdepopularyzowany z powodu swego stanowiska politycznego pisarz (np. Pisiemskij) jest genialnym realistą. U nas inaczej, inaczej, jak doświadczyłem niedawno na sobie...

Spory zaś teoretyczno-literackie u nas — to charakterystyczny, można powiedzieć, pokazowy odcinek dla naszego ogólnego opóźnienia cywilizacyjnego. Z jednej strony wulgarny socjologizm, ten sam, który gdzieindziej tłumaczył Weltschmerz Lermontowa spadkiem cen na zboże w okresie jego twórczości, co musiało wpłynąć na tonację poezji przedstawiciela warstwy eksploatatorów rolnictwa: ale u nas ten socjologizm objawia się w formie jeszcze bardziej spłyconej i pozbawionej tej przynajmniej, solidnej, choćby fałszywie stosowanej, erudycji ekonomicznej. Z drugiej strony formalizm przeżywa okres dziecinnej naiwności. Badacze wiersza nie umieją ustalić swych punktów wyjściowych, wciąż w zakresie pierwszych elementów tej dyscypliny odkrywając nowe Ameryki, bez liczenia się z osiągnięciami sąsiadów: wyniki zaś starają się dopasować do poetyki normatywnej ostatniej mody literackiej, byle tylko nie popaść w „pedantyzm", nie zasłużyć na potępienie nadchodzącej fali nowatorów, gdyż przedział między opisem zjawisk historycznych a prawodawstwem Parnasu jest u nas wciąż niejasny. Inni łudzą się, że da się wyjaśnić sekret piękna użyciem tego czy innego chwytu stylistycznego. Na szczęście, umilkli narazie, a raczej, w większości przeszli „z bronią i bagażami" do przeciwnego obozu, ci przedstawiciele skrajnego fanatycznego formalizmu (mniej więcej 20 lat temu przezwyciężonemu, jako filozofia, gdzie indziej); mniej więc aktualne stały się spory o „fikcję" jako podstawowy dezygnat dzieła literackiego;*) od czasu do czasu słychać, nieodejmowane przez nikogo, pogłosy subtelnych rozważań o „czasie powieściowym" lub o niczem nie dającej się zasypać przepaści między językiem literackim a językiem praktycznego użycia.**)

Wszystkie te skrajności badań formalnych, a raczej ich nadbudowa filozoficzna, które zresztą w kraju jego najbujniejszego rozkwitu, wyrażały się także i w innych formach: traktowanie utworu jako chwytów (nic ponad to!); przypisywanie wyłącznej w nim wagi (jeśli go weźmiemy od strony tematu) stosunkowi materiałów, schematowi fabularnemu (skąd, jak zwrócili uwagę przeciwnicy, bajka o czapli i żórawiu byłaby równoważna względem wrażenia artystycznego „Eugeniuszowi Onieginowi", jako opowieść o niejednoczesnem pojawieniu się uczuć wzajemnych); sprowadzanie całej ewolucji literatury i zmiany jej prądów do kwestii zużywania się przyjętych w danym nurcie literackim chwytów i, w konsekwencji, zjawiającej się potrzeby ich uniezwyklenia, lub zastąpienia innemi; teoria „formy utrudnionej" — wszystkie te, efektowne, przekonywujące na pozór, paradoksalne w istocie, teorie zostały w ożywionej kilkuletniej wojnie zwyciężone i odrzucone do lamusu, nie tylko środkami marksizmu, lecz przede wszystkiem zdrową reakcją samych stronników i pracowników formalizmu i jako wynik ich własnej samokrytyki i dostrzeżenia przerostów. Epokowe, rzec można, w tej sprawie znaczenie posiada kapitalna, mimo swej krótkości, rozprawa Żirmunskiego „W sprawie metody formalnej" (opublikowana po raz pierwszy akurat ćwierć wieku temu, w 1923 r.). Młody wówczas, trzydziestoparoletni, ale już znakomicie przygotowany uczony, wypowiada się przeciw skrajnościom tego zespołu, którego organizacyjnego jądra był jednym z najważniejszych uczestników, autorem już wówczas podstawowych do dziś dnia dla badania formalnego, książek (n. p. „Wstęp do metryki", „O rymie") i szeregu rozpraw teoretycznych oraz świetnych artykułów krytycznych, poezji lirycznej zwłaszcza dotyczących, gdzie łączył, matematyczną nieomal, ścisłość terminologii i analizy ze znakomitą intuicją wartości artystycznej. Dobrze się stało, że rozprawa ta (można powiedzieć: „generalna rozprawa" z krańcowemi zapędami teoretycznemi własnego zespołu!) została uprzystępniona czytelnikowi polskiemu w godnem polecenia piśmie, które powinno się znaleźć w rękach każdego miłośnika literatury, a tem bardziej interesującej się specjalnie badaniami literackiemi, i każdego polonisty w ogóle: jest to łódzkie „Życie literackie" (wznowione po wojnie pod nazwą „Zagadnienia literackie", wróciło obecnie do swego przedwojennego tytułu, pod którym z tą samą redakcją na czele, dobrze się zasłużyło przez trzy lata swego przedwojennego istnienia). Do tego więc

*) „Zagadnienie fikcji literackiej" odżyło ostatnio na łamach „Twórczości" (zesz. II b. r.) w rozprawie T. Drewnowskiego i Marii Janion, w pierwotnej formie, wygłoszonej na Zjeździe, z którego biorą asumpt rozważania niniejsze. Zarówno w przedstawieniu historii sporu o to zagadnienie, jak i w wysuwanem jego rozstrzygnięciu rozprawa jest tyleż mętna co szkolna".

**) Anachronicznem echem tego meteorycznego powodzenia formalizmu są niedawno ogłoszone w „Nowinach Literackich" rozważania L. Frydego o Mickiewiczu - artyście. Utalentowany krytyk pokusił się o ujęcie poety, takie które było ponad jego siły, niewygimnastykowanemu w metodzie formalnej. W rezultacie zostawił w rękopisie rzecz naiwną, której druk, z korzyścią dla pośmiertnej sławy autora, przerwano na pierwszym fragmencie, stanowiącym pomimo tem istne curiosum zaniedbania korektorskiego.

Modlitwa

Bym z twarzy ludzkich, jak z drzew słońce pozdejmował cienie,
bym objawieniem
był rytmu serca w chłodnej zdań doskonałości,
nie łatwo: pisząc najprościej.
Bym w wierszu każdym — więcej, w każdym rymie na piękno ślubował —
nie łamiąc słowa,
i by mi danym było z martwoty nazw, z nocy liter —
błysnąć zachwytem.
Bym chlebem dla was będąc — do dna uczuć pługiem meteora —
bym was przeorał...

Andrzej Wirth

J. J. Szczepański

Przyczynki do Sprawy Wolfa

1

WSTĘPNE UWAGI

Postanowiłem zebrać materiały do sprawy Wolfa. Jest to sprawa trudna, zawiła i jednocześnie oburzająca. Podejmuję ją w charakterze oskarżyciela, chociaż do dziś dnia nie mogę jeszcze wskazać winowajców i obawiam się, że dalsze poszukiwania nie dadzą zadowalających rezultatów.

Jednak mam wrażenie, że tego rodzaju zdarzenia nie mogą być ukrywane, ani zapomniane. Nie można się z nimi godzić. Gdybyśmy godzili się na wszystko co los nam przynosi, byłby już dawno koniec z mitem naszego ludzkiego panowania nad światem. I tak wiemy wszyscy, że jest ono bardzo problematyczne, ale też jesteśmy jedynymi istotami obdarzonymi prawem veta. Dlatego zaznaczam od razu na wstępie, że nie zgadzam się na tajemnicze mistyfikacje, których ofiarą padają ludzie żywi, dzielni, gorąco kochani przez innych. Protestuję przeciw zwodniczym gwarancjom które, jak nam się wydaje zawarte są w pewnych zbiegach okoliczności, w dziwnych przypadkach, dających nam odczuć na chwilę moc jakiejś nadludzkiej dłoni kierującej naszym bytem, które pozwalają nam zaufać. Protestuję tym nienawistniej im bardziej świadom jestem swojej bezsilności.

Wiem dobrze, że protest mój odnosi się jedynie do ludzkiego pojmowania świata. Odczuwam to nawet bardzo boleśnie, bo nie mogę pozbyć się wiary w potężną logikę wszystkiego co jest. Może, gdyby w ludzkiej mocy było oceniać i obejmować każdy fakt w całej jego rozciągłości, to znaczy aż poza granice podmiotu, poprzez mroczne reperkusje myśli i czuć nie tylko aktorów zdarzenia, ale wszystkich, których musnęły kiedykolwiek fale i prądy wywołane dawnym czynem, może wtedy dane by nam było zrozumieć kierunek i linię owej bosko niesprawiedliwej (jak się nam zdaje) logiki. Ale takie poznanie jest oczywiście nieosiągalne, wiedzie poza sferę rzeczy realnych, a w każdym razie poza sferę rzeczy dających się sklasyfikować i ująć w jakiś czytelny schemat. Nie mogę więc podejmować takich szalonych prób. Muszę ograniczyć się do protestu.

O samej sprawie Wolfa chciałbym mówić w słowach możliwie najprostszych, bo jej wstrząsający tragizm i jej dziwność polega na zupełnej, niezachwianej prawdzie. Wszystko to miało miejsce i ma miejsce, jednym słowem stało się, istnieje i rozwija się nadal wśród żywych, a w dodatku jest jedną z bolesnych tajemnic, będących dla większości z nas przeżyciami prawie że banalnymi i pozbawionymi głębszego znaczenia. A jeżeli ktoś zechce uznać to wszystko jedynie za akumulację widocznych dla oka i słyszalnych dla ucha gestów, słów, grymasów bólu, nadziei lub gniewu — niech nie sądzi, że moim jedynym pragnieniem jest przekonanie go, że sprawa rozegrała się między gwiazdami. Nic o tym nie wiem.

A teraz, aby uniknąć możliwych nieporozumień spróbuję jeszcze wyjaśnić, co rozumiem pod słowem „los". Źle. Nie „co rozumiem" — bo przyznaję otwarcie — nie rozumiem wcale co by to być mogło. Raczej jak sobie obrazowo i naiwnie los wyobrażam.

Otóż wyobrażam sobie to coś na kształt rzeki, wielkiej, mętnej rzeki, niosącej na swoim narowistym grzbiecie wszelkie źdźbła, listki i papierowe łódeczki, rozpryskującej się, rozplatającej i splatającej wokół przybrzeżnych i podwodnych skał, usypiającej w bagnistych rozlewiskach, poklaskującej łagodnie na piaszczystych mieliznach. Fale łączą i rozłączają unoszone przedmioty, rzucają jedne z mocą na wodospady, inne wpędzają w cuchnące łachy. Napotkawszy zwalony pień, sterczący korzeniami u brzegu, omijają uczepiony podmytej kępy kwiat kaczeńca, żeby kawałek dalej zniszczyć i zalać jedyne pole wiejskiego nędzarza.

Porzucając przenośnie, wyobrażam sobie los jako ślepą siłę, jako żywioł niszczycielski i twórczy zarazem, zupełnie obojętny i doskonale logiczny, bowiem podległy prawom mechaniki. Proszę mnie zrozumieć: tam, gdzie jest skała, prąd m u s i się rozdwoić, tam gdzie jest wyrwa w dnie m u s i być wir, tam gdzie obniża się gwałtownie teren m u s i być wodospad. Ale tutaj właśnie zarysowuje się granica logiki. Bo każdy z nas czuje przecież, że nie koniec na tym.

Kto poobsadzał skały w ten właśnie sposób i dlaczego? Kto i dlaczego kazał róść drzewu tak, aby zwalony w wodę jego pień ochraniał kaczeniec przed siłą fali? Kto spuścił deszcz, aby wody wystąpiły z brzegów i kto wywołał posuchę?

Przyrodnik uśmiechnie się pewnie i powie: krąg logiki rozszerza się proszę pana. Ruch wirowy ziemskiej kuli powoduje takie a nie inne rozłożenie mas: parowanie wody sprawia gromadzenie się chmur, a to z kolei opady. Prądy powietrzne... i tak dalej i tak dalej. Dobrze, dobrze, wiem o tym, uczyłem się w szkole. Wiem więcej; wiem, że fakt ocalenia przybrzeżnego kaczeńca można wyjaśnić w ten sposób uczenie, brnąc, aż w zawrotne dale teoretycznej matematyki i astronomii. To jest właśnie sposób prowadzenia dochodzeń, o którym wspominałem na początku.

Ale jednak... dlaczego?

Dlaczego Wolf spotkał w życiu Andrzeja, dlaczego kochał się w Zuzie, dlaczego był jedynym synem, dlaczego trafił do majątku pani M?

Dlaczego?

Dlaczego wybrał sobie taki fatalny pseudonim;

Tak przejdźmy do zeznań i świadków.

ZEZNANIA DORY

Panna Dora, właścicielka niepozornego sklepiku z galanterią męską, jest byłą łączniczką placówki Nr 111. W jej sklepie znajdowała się skrzynka, przez którą przechodziła cała korespondencja placówki i przewijali się ludzie „z terenu", przyjeżdżający służbowo do dowództwa. Panna Dora ma 22 lata, jest blondynką o jasnej cerze, niebieskich, dużych oczach i ładnym uśmiechu, w którym ukazuje nieco za szeroko rozstawione górne zęby. Jest niesłychanie dyskretna, spokojna i systematyczna.

Przez cały czas swego urzędowania żyła w oczekiwaniu ciemno-zielonego auta, które wywiezie ją w nieprawdopodobny świat, pełen czadu płonących ciał ludzkich, pełen bólu, głodu i wszelkiej udręki, świat straszliwego upodlenia, będący ostatnim przybytkiem tych, którzy walczą.

Panna Dora miała do tych ponurych perspektyw swoje własne, kobiece podejście. — Może wezmą mnie do Oświęcimia — myślała z naiwnym, zalotnym niemal uśmiechem... i piekło wydawało jej się przez chwilę zabawne, upragnione nawet, jak luna park w niedzielę. Tam był jej narzeczony.

Ale to nie należy do sprawy Wolfa.

— — — — — — —

15-go Wolf przyszedł do sklepu, jak zwykle o godzinie w pół do dwunastej. Był milczący i trochę jakby zakłopotany, ale wyglądał zdrowo i zachowywał się, jak zawsze: poczciwie, ociężale, bez ceremonii. Szef spóźnił się tego dnia i Wolf zaczął się niecierpliwić. W dodatku wlazł jakiś podejrzanie wyglądający Niemiec, który uwiesił się telefonu, tak, że zdawało się nam, że już nigdy nie wyjdzie. Wolf z wielkim namaszczeniem wybierał sobie grzebień. Pytał o ceny, każdą sztukę oglądał pod światło, wyginał i ku widocznemu oburzeniu Niemca, próbował na własnych włosach.

W trakcie tego wszystkiego zjawił się nasz stary. Drobnym kapryśnym kroczkiem zbiegł ze schodów, ukłonił się z miną frywolnego, starszego pana i zażądał kapelusza. Niemiec wrzeszczał w telefon, nie spuszczając z oka tamtych dwóch. Pod jego badawczym i napastliwym spojrzeniem Wolf dalej przeglądał grzebyki, a szef targował się ze mną i kłócił, żądając oryginalnego Borsaglina. To wszystko są pewnie szczegóły bez znaczenia, ale powtarzam je, bo wbiły mi się w pamięć z niesłychaną siłą. Wydawało mi się, że ta scena wlecze się, jak film w zwolnionym tempie i że za moment okaże się, że już nie można dłużej przeciągać komedii. Wreszcie Niemiec wybełkotał niespodziewanie swoje „heitler" i wyskoczył na ulicę, trzasnąwszy tak wściekle drzwiami, że aż serce zatrzęsło się we mnie. Doznałam wtedy bardzo niemiłego uczucia. Pamiętam, że tego dnia każde przejeżdżające za oknami auto, budziło we mnie dreszcz... No, ale mniejsza o to.

Po wyjściu Niemca, Wolf i Matylda (bo szef nazywał się Matylda — czy to nie śmieszne?) — więc Wolf z szefem weszli za kotarę; mam taką niszę w moim lokalu, gdzie stoi piecyk, na którym grzeję sobie czasem zupę lub kawę. Zabrałam się do roboty swetra dla brata, starając się nie słuchać o czym tamci mówią, ale gadali tak głośno, że mimowoli chwytałam całe zdania i niektóre pamiętam do tej pory.

Z początku kłócili się o coś.

— Źle tam panu jest? — pytał stary.

— Dobrze — odpowiadał Wolf głosem niechętnym i ponurym jak gdyby to „dobrze" było jakimś utrapieniem, albo wstydem.

— No więc o co chodzi? — mówił Matylda. — Powinien się pan cieszyć. O co chodzi? To jakieś dziecinne fantazje, niech pan sobie da z tym spokój. Czy pan nadal czuje się zagrożony przez Andrzeja? — dodał po chwili. „Nie" wymówione przez Wolfa było bardzo wyraźne i stanowcze. Wydawało się, jak gdyby starał się położyć na nim specjalny nacisk. Straciłam wątek ich rozmowy i dopiero usłyszałam znowu podniesiony głos szefa:

— Las, las! Romantyzm panie kolego. Każdy bałwan potrafi iść do lasu i strzelać, prawda? Trudniejsza sprawa to umieć myśleć. Rozumie mnie pan? Nie chcę pana puścić, bo mi na panu zależy, bo pana cenię, panie kolego. Tak, naprawdę.

Głos szefa miał jak zwykle ton trochę kpiący. Nie wiem, czy mówił serio, czy droczył się tylko z Wolfem swoim zwyczajem. W każdym razie na tym skończyła się sprzeczka. Zaczęli szeleścić papierami i mruczeć, jak zawsze przy „poważnych" tematach. Kiedy wyszli zza kotary Wolf miał twarz pochmurną, był wyraźnie z czegoś niezadowolony. Szef przeciwnie, uśmiechał się chytrze i dobrodusznie.

Umówili się jeszcze co do następnego spotkania. W przyszły wtorek miał przyjechać Szary. Wolf dopiero za dwa tygodnie. Przy pożegnaniu Matylda poklepał Wolfa po ramieniu, jak gdyby prosząc o zgodę i powiedział:

— Więc ustalone, panie kolego, prawda? Liczę na pana.

Wolf stał przez chwilę w milczeniu, z opuszczoną głową i ramionami zwisającymi ciężko, chwiejąc się niezdecydowanie na szeroko rozstawionych nogach. Potem wyprostował się nagle i spojrzawszy szefowi w oczy ze swoim dziecinnym, poczciwym uśmiechem, odpowiedział krótko: tak.

Po wyjściu starego, zapytałam go, czy ma jakieś kłopoty. Machnął niedbale ręką. Potem usiadłszy bokiem na ladzie, zaczął mi ni stąd ni zowąd opowiadać, że nikt jeszcze nie przeszedł Grenlandii wzdłuż samym środkiem i że tam są wspaniałe góry pokryte lodowcem, a w lecie słońce świeci tak mocno, tak jaskrawo odbija się od śniegów i lodów, że niesposób wytrzymać bez grubych, ciemnych okularów.

Poszedł ode mnie prosto na stację.

To wszystko działo się 15-go we wtorek, jak już powiedziałam.

W piątek, wbrew ustalonym zwyczajom Wolf zjawił się znowu. Wiedziałam, że czasem bywa w Krakowie niezależnie od swoich spotkań z szefem, ale wtedy nie zachodził nigdy do sklepu, żeby nie przeciążać skrzynki. Tym razem wbiegł bardzo zaaferowany i nie zdejmując kapelusza zapytał: Nie było tu starego?

Zdziwiłam się bardzo, bo on przecież wiedział doskonale, że szef przyjdzie dopiero na spotkanie z Szarym. Ale Wolf tego dnia w ogóle zachowywał się jakoś dziwnie.

— A Szary nie zjawił się przypadkiem?

To pytanie wzmogło jeszcze mój niepokój.

— Co się stało? — zapytałam.

Popatrzył na mnie uważnie, a potem odwracając wzrok rzekł wymijająco: Nic, nic szczególnego. Chciałem zobaczyć się z którymś z nich. Gdyby pani przypadkiem zobaczyła starego — dodał — niech mu pani powie, że jutro jeszcze tu będę... Zawrócił się w stronę drzwi, ale widocznie zmienił zamiar, bo znowu zbliżył się do lady.

— Zresztą — rzekł — niech mu pani nic nie mówi, inaczej sobie poradzę. Musiałam przyglądać mu się z widocznym osłupieniem, bo uśmiechnął się nagle zażenowany. Opanował się już zupełnie i oparłszy łokcie na kontuarze, tak jak zwykł to zawsze robić, zaczął gawędzić ze mną spokojnie i wesoło. Po paru błahych zdaniach umilkliśmy oboje. Wtedy Wolf wyciągnął z kieszeni swój mieszek z tytoniem i kręcąc papierosa z wielkim namaszczeniem, powiedział głosem zabawnie uroczystym, jakim mówi się do osób niezupełnie poważnych:

Panno Dociu, jeżeli uda mi się przeżyć ten tydzień, będę się uważał za wielkiego szczęśliwca. To były ostatnie słowa, jakie słyszałam z ust Wolfa. Dalej pan wie jak było: w poniedziałek przyszedł jakiś zupełnie nieznany młody człowiek i podał hasło. Przestraszyłam się, udałam, że nie rozumiem.

— Proszę się nie bać — rzekł surowo. I zaraz potem: „Wolf nie żyje. Niech pani zawiadomi jego matkę".

— Co, Wolf nie żyje? — krzyknęłam. Ale właściwie od pierwszej chwili byłam zupełnie pewna, że to prawda. Tamten podał mi tylko karteczkę, na której szerokim, niezgrabnym pismem Wolfa wypisane były słowa: „W razie mojej śmierci zawiadomić sklep panny Dory F." i mój adres.

Nie mogłam wyciągnąć z przybysza żadnych szczegółów. Jacyś ludzie zabili Wolfa w nocy z niedzieli na poniedziałek. Wywabili go z domu i zastrzelili w polu o dwa kilometry od dworu. Dostał kulę w tył czaszki, śmierć nastąpiła natychmiast. Ani słowa więcej.

Nie będę opowiadać jaki przebieg miała moja rozmowa z matką Wolfa. To można sobie wyobrazić. On był jedynym synem. Jedynym człowiekiem, którego ta kobieta miała na świecie. Boże! To było tak, jakbym tylko dlatego go znała, żeby przynieść kiedyś do jej domu tę wieść...

To już. Już wszystko. Nigdy nikt z tych, co znali Wolfa nie potrafił mi wyjaśnić powodu tego okropnego zdarzenia. Były rozmaite domysły. Moje własne są równie niepewne, jak wszystkie inne. Ale jeżeli to może przyczynić się choć trochę do wyjaśnienia sprawy proszę posłuchać:

Pan wie, że przez ostatnie pół roku Wolf mieszkał u pewnego pastora. Otóż mówiono, że żona tego pastora była jego kochanką. Nie wiem, może to tylko flirt. Widziałam ją parę razy. Wyglądała na coś pośredniego między pensjonarką a fordanserką z nocnego lokalu. W zimie w czasie wsypy, kiedy Wolf uciekł z miasta, pastora aresztowano. Siedział dwa tygodnie, a potem wyszedł. Zaczęto o nim źle mówić i pamiętam, że sam szef ostrzegał Wolfa kilkakrotnie. Mimo to, wiem na pewno, że on przyjeżdżając tutaj bywał u tej... u tej Zuzy. Kiedyś przemówili się bardzo ostro z Szarym na ten temat.

Nie mam prawa rzucać na kogoś zupełnie obcego tak ciężkich podejrzeń. Ale jednak... Proszę pana, ta Zuza znała Andrzeja.

Może ona nie chciała nic złego. Podobno rozpaczała bardzo kiedy dowiedziała się o wszystkim. No nie wiem, nie wiem. To są tylko moje domysły. Proszę zapytać tych, którzy pracowali z Wolfem, może oni udają tylko, że nic nie widzą.

ZEZNANIA SZEFA

Na pierwszy rzut oka ten pan robi wrażenie starego urzędnika bankowego. Widziany pobieżnie z daleka jest ideałem niepozorności. Niski, szeroko zbudowany, o krzywych ramionach i krótkich nogach, poruszający się kapryśnie i drobno, jak ludzie nawykli do życia w małej przestrzeni. Ubiera się szaro, na głowie latem i zimą nosi wytartą narciarkę, jego półbuty mają obcasy deptane od zewnątrz. Pod pachą nosi zawsze nieodłączną teczkę z zepsutym zamkiem i dyndającymi rzemykami, z kieszeni płaszcza sterczy mu gazeta, którą kupuje z wieloletniego nawyku, ale której nigdy prawie nie czyta. Idąc, przechyla się nieco w tył, wysuwając przed siebie umiarkowanie zaznaczający się brzuszek i przekrzywiając głowę na prawą stronę, tak, jak to robią starsi panowie w czasie dyskusji.

(D. c. n.)

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO" W WARSZAWIE

Ze zrozumiałym zainteresowaniem i radością przeczytałem pierwsze komunikaty o nagrodzie im. Wł. Pietrzaka, ufundowanej przez zespół „Dziś i Jutro".

Przypuszczam, że będzie miała ona specjalne znaczenie w organizowaniu katolickiej polityki kulturalnej Polski powojennej.

Wyraźne postulowanie godzenia postawy życiowej ewentualnych kandydatów do odznaczenia z normatywem etyki, której podporządkowanie się zapewniać ma ich twórczość, objęcie preliminarzem nagród dziedziny naukowej, literackiej i publicystycznej — stanowią walory, mogące odegrać rolę wspaniałych „środków dopingujących", nawet rolę — jak mi się wydaje — „fajki pokoju" między poszczególnymi odłamami obozu katolickiego, wreszcie rolę rzetelnej, w najlepszym tego słowa znaczeniu propagandy roboty katolickiej.

Pochwalając wszystkie merytoryczne, dotychczas opublikowane, założenia Komitetu Nagrody im. Wł. Pietrzaka, mam do redakcji, jako stały czytelnik „Dziś i Jutro" jedną prośbę: odpowiedzcie nam, kto jest patronem Waszej nagrody i dlaczego? Nie wiem, jak innym, ale mnie i gronu znajomych, wśród których przeprowadziłem ankietę, nazwisko ś. p. Wł. Pietrzaka mówi mało. Wierzymy, że jest to wynikiem jakichś komplikacji techniczno - wydawniczych, może w części naszej nieuwagi. Dotychczas znamy kilka — świetnych rzeczywiście — artykułów Pietrzaka. Wierzymy, że redakcja zbliży do nas jego postać, zaznajomi z nią bliżej, uargumentuje mocniej wybór tego, a nie innego patrona.

Kreślę się z poważaniem

Roman Kliszko

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO" W WARSZAWIE

Szanowny Panie Redaktorze — Nareszcie! Nareszcie podjęto realizację projektu, o który warto się było pokusić, którego potrzebę od dawna można było zauważyć. Myślę o utworzeniu nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka.

Nie chcę kadzić zespołowi „Dziś i Jutro", więc zaznaczywszy swój pozytywny stosunek do samego pomysłu, chciałbym sformułować jedno tylko — ale moim zdaniem bardzo poważne — zastrzeżenie.

W nr. 10 (119) drugi komunikat Komitetu Nagrody im. Włod. Pietrzaka, donosi, że „dla ustalenia treści i zakresu pojęcia „pisarza katolickiego" bierzemy pod uwagę trzy czynniki: 1) doktryna, 2) życie osobiste, 3) pozytywny wkład w społecznym ruchu katolickim najszerzej pojętym".

Chodzi mi o ten drugi czynnik, o życie osobiste. Wydaje mi się, że ze względu na obiektywizm zawsze relatywny i ze względu na ograniczone możliwości techniczne nawet najbardziej pracowitego jury, wysuwanie drugiego czynnika jako determinanty kwalifikującej jest nie tylko ryzykowne, ale wręcz niebezpieczne. Jeśli rozważanie osobistego życia przyszłego kandydata na laureata będzie traktowane serio jako **conditio sine qua non** cała sprawa może ugrzęznąć w personalnych nieporozumieniach, galimatiasie drobnostek, subiektywnych szczegółów i w negliżowaniu intymnych zjawisk, do czego nikt nigdy nie ma prawa.

Obserwowanie życia osobistego pisarza katolickiego (nawet z bałamutnym zastrzeżeniem: „o ile ono podpada pod obserwacje społeczne") jest pomysłem nierealnym, niewykonalnym i — zbytecznym.

To zresztą uwagi laika. Proszę je przyjąć jako wyraz zainteresowania i sympatii.

B. H.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO" W WARSZAWIE

Do licha ciężkiego z taką literaturą!

Jako przeciętny śmiertelnik, daleki od znawstwa w dziedzinie literatury, nie rozróżniający nawet między autentyzmem i realizmem protestuję przeciw zaśmiecaniu literatury polskiej gryzmołami w rodzaju „Pierwszy wypad" J. B. Ożoga („Dziś i Jutro", IV. Nr. 9(118).

Kto chce publikować swoje prace literackie musi pisać pięknie i z sensem — do rzeczy. Tym postulatom ogółu Czytelników nie odpowiada wyżej wspomniany elaborat.

Dowody:

Chory Jaś „naciągnął poduszkę na głowę i krzyknął przeraźliwie". Kto widział chorego w gorączce, naciągającego (!) poduszkę na głowę?

Kiedy to pojedyńcze niemieckie czołgi zapuszczały się w teren z załogą dwu ludzi, a nasza partyzantka dwa dni naprzód o tym wiedziała?

„...Mina wybuchła". — „Czołg trafiony" — chyba przez minę?

„Z piersi zaczajonych w rowie..."— chyba chłopców, ale tego tam brak. Więc z piersi zaczajonych w rowie za drzewami, (sic) wyrwał się ryk urwany, przeraźliwy, i ręce mu (komu?) zaczęły dygotać nerwowo".

„Mrukliwi, zgodni szli wszyscy, szli przez dwie noce lasami, zwarci pięściatą maczugą". — Czyżby panzerfaust nieśli jako symbol zwartości? Więc nie mina uszkodziła czołg!

Obraz jak z bajki: chłopcy wyłażą z rowu, klapa czołgu się otwiera i wygląda z niej ostrożnie Niemiec. Dalej nie mam odwagi cytować, proszę to przeczytać. Kończy się ten passus takim zdaniem: „Otwarły się pyski, (widać Niemiec należał do gatunku wielopyskowych!), jakby chciały (a nie mogły!) wydobyć jakieś słowo do porozumienia, ale głos uwiązł na dnie gardła". A potem? — „Jak przez mgłę krakały (!) wytrzeszczone, zimne, bezsilne gały Niemca". A oni? — „...wyskoczyli bokiem leśnego rowu, sunąc wprost na ten łeb (!)". A Niemiec stał ciągle i czekał... aż go Bartek przewiercił bagnetem. Poczem „zniekształcony grymasem trwogi pysk krzyknął cicho (!)" — szkoda, że nie powiedział w milczeniu? — „Na ten widok z gardzieli bandy (sic) wydarł się ryk wściekłości: „Jeszcze drugi! jeszcze drugi! Chyżo, bo cię zabiją!"

Albo ten makabryczny opis odcinania trupom palców. Nie mam odwagi przytaczać!

A scena z pijawkami! Czy pan J. B. Ożóg widział kiedy, jak się stawia choremu pijawki? Z opisu widać, że nie. Radziłbym, by poddał się temu zabiegowi. Raz można go zastosować na karku: odciągną krew z głowy. Potem drugi raz na pośladku. W obu wypadkach na pewno nie dojrzy „na brudnej szmacie czarnego straszliwego skrzepu krwi". Obejdzie się nawet bez bandażowania.

Zakończę twierdzeniem, że gdyby chciało się przytoczyć wszystkie nonsensy, to należałoby zamieścić raz jeszcze całe opowiadanie i przy każdym niemal słowie, a napewno przy każdym zdaniu położyć wykrzyknik lub znak zapytania.

Czy P. T. Redakcji zdaje się, że Czytelnicy „Dziś i Jutro" kwalifikują się do szpitala wariatów?

Z poważaniem

Mieczysław Litwajtis

Polanica-Zdrój

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

1. Czytuję stale „Dziś i Jutro". Przyznam się, że mnie osobiście czytanie „Dziś i Jutro" nieco męczy, a to ze względu na wąskość szpalt, których jest pięć na kilku stronicach natomiast powieść Kisielewskiego drukowana jest **na czterech szpaltach i czyta się całkiem dobrze.** Wydaje mi się, że posługiwanie się pięcioma szpaltami, jest dla poważnego tygodnika nieco żenujące: to dobre dla krótkich wiadomości gazetowych. Zapytuję uprzejmie, czy nie dałoby się przejść na cztery szpalty?

2. Czy nie dałoby się drukować następnej już powieści, ale tak, **żeby można złożyć z niej książkę?** Sądzę, że byłby to duży zysk dla czytelnika i kto wie, czy nie przyczyniło się i do powiększenia grona czytelników.

3. W zagadnieniach gospodarczych prosimy poruszać możliwie aktualne zagadnienia gospodarcze, prawne czy spółdzielcze, gdyż ten dział wydaje się nam bardzo abstrakcyjny.

Urban Władysław

Rudnik n. Sanem

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

W numerze z dn. 22.II.48 r. p. Aniela Michalska wyraża swoje ubolewanie nad formą mej polemiki w sprawie śpiewu gregoriańskiego. Autorka listu zgorszona jest moją pospolitością. Stwierdza, oczywiście autorytatywnie, że „tego rodzaju krytyka jest niżej poziomu i niedopuszczalna".

Pewna swej niezachwianej powagi, której wszystko wolno, wyznaje: „jestem profanem w sprawie muzyki i tajemnic wiary i nie wchodząc w meritum sprawy"... Otóż to! Ludzie dlatego są tak pewni słuszności swych, już nie sądów, ale wrażeń, że nie wchodzą w meritum sprawy, że nie widzą, nie mają pojęcia, nie chcą wiedzieć o co chodzi. Stąd taki profan nigdy nie zrozumie, będzie się dziwił i gorszył, jeśli ktoś tak mocno coś kocha i w coś wierzy, że trudno mu, w obronie rzeczy świętych, dobrać dostatecznie mocnych argumentów, porównań i słów.

Nie Pani Anielo! Nie będę brał wzorów kultury polemiki od profanów. Lepiej też dla profanów, żeby mnie nie czytali. Poco mają sobie psuć krew, skoro z tego pożytku nie odniosą. Ja piszę do ludzi żywych, żeby żyli, żeby mnie albo z błotem mieszali, albo przyświadczali. Nie piszę dla intelektualnej zabawki, na czym, według Pani, polega kultura. Ja chcę dotykać przeciwników i sam się na to samo wystawiam. Kultura to nie jest dla mnie coś bezpłciowego w rodzaju kapłona. W tym się właśnie różnimy.

Z. Jakimiak

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO" W WARSZAWIE

Recenzja Nieliteracka („Dziś i Jutro" Nr. 6/115) rozbiera zagadnienie, czy autor książki „Piórkiem Flaminga czyli Opowiadanie przewrotne" może być nazwany pisarzem katolickim.

O ile chodzi o utwór z tego zbioru nowel p. t. „Święta cytryna czyli Tajemnice Watykanu", to autorowi trzeba w każdym razie odmówić dobrego smaku. Czy bowiem nazwiemy ten utwór groteską, czy burleską to, gdy chodzi o Głowę Chrześcijaństwa, o Namiestnika Chrystusowego na ziemi, tego rodzaju żart jest co najmniej niesmaczny i zastanawiającym jest, że recenzenci aż dwóch tygodników katolickich tego nie odczuli, lecz przeciwnie nie znaleźli przeciw temu „zastrzeżeń". O mianie pisarza katolickiego dla autora chyba nawet mowy być nie może.

Jeżeli wyrażone w „Recenzji Nieliterackiej" przypuszczenie, że w utworze „Święta cytryna" osobą opowiadającą jest sam Żukrowski, jest słuszne, to Żukrowski nie ma prawa rozdzierać szat nad słabością zasad katolickich i moralnych pątnika z Warszawy, któremu, korzystając z jego braku obycia w świecie i powiedzmy, „parafiańszczyzny, zawrócił głowę, w przenośni, swym fantastycznym opowiadaniem o przywłaszczeniu sobie przez Papieża cytryny, a w znaczeniu dosłownym włoskim winem w oberży, co skończyło się zalotami do kelnerki i brzydkimi tego kroku konsekwencjami. Autor postąpił z tym rodakiem nieuczciwie i końcowy apel do Boga „o przetrząśnięcie katolików przez sito" jest wobec tego nieszczery. Jeżeli natomiast autor i opowiadający są dwiema różnymi osobami, to co do autora pozostaje tylko poruszona w „Recenzji" zasadnicza sprawa „dążenia do prawdy" i połączonego z tym „niepokoju". Dążyć do prawdy jest lepiej, niż trwać świadomie w błędzie, ale dopiero po jej osiągnięciu i znalezieniu uspokojenia, które jedynie prawda daje, pisarz zasługuje na miano pisarza katolickiego.

W „Recenzji" poruszona jest jeszcze sprawa erotyzmu w literaturze w ogóle, a w utworze „Monarchiści" w szczególności, przy czym autorowi chodzi zasadniczo o „wyzwolenie twórczości i życia obyczajowego katolickiego z „urazu erotyzmu i o właściwą proporcję związanych z tym zagadnień". Utwór „Monarchiści" jest od początku do końca tak groteskowy, że i erotyzm, którego w nim nie braknie, uderza nie tyle naturalizmem, co przesadą. Wrażenie drastyczności wywołuje jednak przede wszystkim nadzwyczaj swywolny ołówek illustratora.

Nie wiadomo, gdzie autor „Recenzji Nieliterackiej" w obecnych warunkach dopatruje się „urazu erotyzmu". Jest chyba przecież na odwrót pod tym względem stępienie wrażliwości, gdy pisarze przeważnie zapominają, że bardzo warta opisu jest „miłość", nawet zmysłowa, bez czego piśmiennictwo piękne obejść się nie może, ale pozostawianie w cieniu jej strony fizjologicznej jest właśnie tym, czym człowiek wybitnie odróżnia się od zwierząt. Wszak są i inne fizjologiczne czynności, które do literatury na szczęście jeszcze nie należą, choć i ta zasada bywa już przełamywana.

S. O.

Tom poezji Jana B. Ożoga

(Dokończenie ze str. 8-ej)

Takich wierszy jest więcej. Ale im więcej się ich czyta, tym wyraziściej występuje skryte w nich niebezpieczeństwo. Sygnalizuje to niebezpieczeństwo w sposób dyskretny, ale zrozumiały ostatnia z przytoczonych strofek.

O ile rygory muzyczności i obrazowości podporządkowane rygorom wyższej kategorii organizują twórczość poetycką, o tyle zautonomizowane i wyemancypowane spod praw sensu stają się czynnikiem dezorganizującym, słowo jest tonem lub barwą, a nie słowem, wiersz frazą muzyczną lub fragmentem pejzażu, a nie wierszem, poezja muzyką lub malarstwem, a nie poezją, nie syntezą — harmonijną i logiczną — wszystkich sztuk. Bo obrazów i tonów nie organizuje wtedy żadna treść, nie reprezentują one żadnej nadrzędnej wartości, stają się coraz luźniej, coraz bardziej przypadkowo związanymi częściami, nikną w chaotyczności inercyjnych skojarzeń, w krótkich olśnieniach, w pawim roztaczaniu, nie zawsze zresztą pięknych, choć zawsze pstrych, ogonów.

Ożóg jest wyrazistym tego przykładem. Jego muzyczność i obrazowość, zwolnione ze służby rygorem wyższego rzędu, rozzuchwaliły się i zwulgaryzowały, drapieżnie zagarnęły dla siebie większość wierszy, swoim nonszalanckim samochwalstwem wypłoszyły z nich prawdziwy **sensus poeticus,** znajdujący swój wyraz w harmonii, a nie dysonansach (chociaż ta harmonia może operować dysonansami), w treści, a nie pustce, w szacunku dla tworzywa, jakim jest język, a nie w zblazowanym lekceważeniu i niechlujstwie. Niezrozumiały układ syntaktyczny ostatniej z cytowanych strofek, to „lasem, borem", które tłumaczy jedynie racja foniczna, jest najsubtelniejszym przykładem dezorganizowania materii poetyckiej przez niewłaściwą hierarchizację, mających ją organizować rygorów. Wyrazistszym symptomem smutnych wyników nieporozumienia na tym odcinku mogą się stać końcowe groteski. Choćby „Żarna".

Żarna u nas jak żyrafa,
cztery nogi, szyja Staffa.
Tylko dać jej pęk begonii
i zagrać na fisharmonii.

Lub — weź niecki, włóż żarnówkę
i już masz ze żaren sówkę.
Puchu! puchu! leci w pola
sypią się jej pióra z wola.

Inercja skojarzeń, znajdująca tu częściowe usprawiedliwienie w groteskowym charakterze wiersza, święci triumfy w większości pozycyj całego tomu. Czytelnik otwierający na chybił—trafił „Jej wielki wóz" prawie zawsze znajdzie dowody na to, że obrazowość i muzyczność Ożoga pokonały go zupełnie, że to co mogło stać się precyzyjnym skalpelem, pomagającym w dziele narodzin wielu prześlicznych wierszy, puszczone w obłędny ruch, niekontrolowany żadną nadrzędnością celów, kaleczy ożogowskie wiersze, morduje w nich treść, przecina więzy łączące poezję z czytelnikiem i rani język. Wynik tej orgii kolorów i tonów (nie zawsze zresztą szczerych i prawdziwych) smutne wydaje owoce, drażliwe rodzi pytania.

Dlaczego wiersze Ożoga nie zawsze wiedzą, o co im chodzi? Dlaczego mętna, choć dzwonna i wonna, składnia tych wierszy zaciemnia ich sens? Dlaczego autor nader często wtrąca dźwięczne, co prawda, ale nieusprawiedliwione emocjonalnie warunkami kontekstu, wykrzykniki: hej, hej-że, hop, ej itp.? Dlaczego w „Jej wielkim wozie" raz komuś **„pachły** od tulipanów ewangelijne kazania", a później **„pachnieją** mirtem młode sady przy wodzie", by wreszcie coś **„krwią zapachło"**? Czy to nie pachnie czymś brzydkim i niestosownym? Nie chcielibyśmy silić się na złośliwość i przypominać zakończenia „Domu" z cyklu „Ogier i makolągwa" („po polsku — nędznie, źle"), ale wolno chyba życzyć Ożogowi więcej szacunku do języka, tego szacunku, który żywił — przepraszam za zestawienie — Mickiewicz, Żeromski, czy glossolalizujący nawet Tuwim.

Omówienie to nie sumuje, oczywista, wszystkich minusów. Tylko te, których powinno wystarczyć dla stwierdzenia, że to, co znajdujemy u Ożoga, to jeszcze nie autentyzm Ba, więcej: to jeszcze nie zawsze poezja

Zygmunt Lichniak

Nadesłano

NADESŁANO SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA" 1948 R.

K. Marks i F. Engels: O MATERIALIŹMIE HISTORYCZNYM, wydanie trzecie, str. 63.

Władysław Broniewski: DRZEWO ROZPACZAJĄCE, poezje, wydanie drugie, str. 92.

Władysław Broniewski: BAGNET NA BROŃ, poezje, wydanie drugie, str. 42.

Jerzy Plechanow: O MATERIALISTYCZNYM POJMOWANIU DZIEJÓW (Bibl. Klasyków Marksizmu), wydanie trzecie, str. 64.

Blasco Ibanez: ZIEMIA PRZEKLĘTA, powieść, tłumaczyła z hiszpańskiego Zofia Szleyen, str. 196.

W. K. Arsenjew: DERSU UZAŁA, powieść, tłum. z rosyjskiego A. Stawara, str. 290.

Artur Per: ENDOKRYNOLOGIA (podręcznik uniwersytecki), str. 600.

STANISŁAW CUKROWSKI — WARSZAWA, 1948.

Stanisław Helsztyński: OD SZEKSPIRA DO JOYCE'A, wydanie drugie, str. 323.

GEBETHNER I WOLFF, 1948.

Helena Boguszewska: ŚWIAT PO NIEWIDOMEMU, str. 129.

Władysław Umiński: BALONEM DO BIEGUNA POŁUDNIOWEGO — PONAD LODAMI ANTARKTYDY, nowe wydanie, 6 ilustracji Danuty Skawińskiej, str. 247.

WŁADYSŁAW BĄK, ŁÓDZ.

I. Turgieniew: OJCOWIE I DZIECI, tłum. Jan Dąbrowa, II t.

Sewer: BIEDRONIE, powieść, II t.

WYDAWNICTWO E. KUTHANA.

Joan Lowell: KOLEBKA NA GŁĘBINIE, powieść, sześciobarwna obwolute projektował Witold Kalicki str. 218.

Artur Oppman (Or-Ot): PAN TWARDOWSKI, ilustrował Witold Kalicki, str. 112 + osiem ilustracji w tekście.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA", 1948.

Jerzy Broszkiewicz: OCZEKIWANIE, str. 296.

Marian Grotowski: MICHAŁ FARADAY JEGO ŻYCIE I DZIEŁO 1791 — 1867, wydanie drugie, str. 157 + 21 rycin.

BAJKI UZBECKIE I TADŻYCKIE — opracowała Eleonora Słobodnikowa, ilustrował Ignacy Witz, str. 92.

Zofia Petersowa: LICZYRZEPA, KRÓL GÓR, bajki dla młodzieży str. 130.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81. m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr I-727

Wydawca: Kolegium Redakcyjne.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

Druk. Skolimowska 5.

B-45380